№ 36. Warszawa, dnia 26 Sierpnia (7 Września) 1878 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

POGADANKA.

Nie każdemu jest dano (mówiąc stylem wychodzącym dziś z użycia) rozkoszować się w porze letniej czystem i świeżem powietrzem wiejskiem, słuchać piosnek żniwiarzy, głosów leśnego ptastwa i owych chórów żabek w stawach zarosłych trzciną lub sitowiem, chórów które autor „Pana Tadeusza“ przyrównał do harf eolskich. Jakkolwiek pora „mieszkań letnich“ dostarcza obfitego materyału dziennikarzom wszelkiego autoramentu, a głównie reporterom, humorystom i karykaturzystom, jakkolwiek prawdziwe czy urojone przygody Warszawianek i Warszawiaków, używających chwilowo rozkoszy życia arkadyjskiego, tak obficie uwieczniane są piórem i ołówkiem, że zdawaćby się mogło iż cały ruch miejski, legalnym paszportem opatrzony przesiedlił się na wieś na trzy lub cztery miesiące, jednakże w rzeczywistości rzecz ta ma się wcale inaczej. Ubytek młodzieży szkolnej i paru, a nawet kilku tysięcy osób, doświadczających wartości mieszkań letnich z obu stron: idealnej i praktycznej. nie wpływa prawie wcale na zmianę fizyognomii Warszawy. Ruch zawsze ten sam, te same reparacye domów. te same piece asfaltowe, dające przedsmak atmosfery piekielnej, ta sama woda. to samo powietrze, no — i ta sama chęć i potrzeba rozrywek.

Warszawa twierdzi że potrzebuje się bawić; że chce, o tem wątpić nie można, a że umie, mamy tego codzienne dowody, widząc pełny zawsze ogród Saski i Botaniczny, pełny Teatr Letni i pełne teatrzyki, z których nawet obfite deszcze tegoroczne nie zdołają wystraszyć wielbicieli Talii, Euterpy i Melpomeny. Jest to istotnie rzadka, specyalnie nasza umiejętność bawienia się; jesteśmy nie wybredni i poprzestajemy na małem. Przyciąga nas dramat nowy lub komedya wzorowo odegrana przez trupę miejscową, większe zapały budzi operetka w teatrzyku, a „śmiesznostka“ która się tem odznacza że nie jest wcale śmieszną, największy entuzyazm wywołuje. Umiemy się więc bawić, a nawet sądząc z powyższego stopniowania, możnaby powiedzieć że im mniej „materyału“ do zabawy, tem lepiej się weselimy.

Dowieść tego nietrudno. Ze statystyki prowadzonej w dziennikach widzimy, że liczba widzów w Teatrze Letnim rzadko kiedy dochodzi tysiąca; teatrzyki zaś, biorąc razem, mieszczą codziennie w swoich niezbyt jasno oświetlonych sferach po cztery do pięciu tysięcy osób. Teatr Letni wystawia „Syna Puszczy“ i „Uproszone Zaloty“; teatrzyki częstują publiczność „Zemstą Nietoperza“, „Modniarką Warszawską“ i „śmiesznostkami“. Premiowana komedya Zalewskiego zbladła w obec powodzenia „Barnaby Fafuły“. Nie jestże to dowód że przestajemy na małem, na jak najmniejszem? Nie jestże to dowód, że rozrywkę mierzymy ilością śmiechu wywołanego często tak błahemi środkami, że wyszedłszy z przedstawienia zadajemy sobie pytanie: co właściwie rozśmieszało nas tak dalece?

W obec tego prądu, hałaśliwego a płytkiego, znika zamiłowanie do rozrywki w głębszem, szlachetniejszem znaczeniu. Dramat taki jak „Sylwia“ zchodzi z repertuaru po kilku przedstawieniach; ten sam los dosięgnie zapewne „Syna Puszczy“ pomimo wartości poetycznej tego dramatu i wybornej gry panny Deryng i pana Leszczyńskiego. „Uproszone Zaloty“ Kajetana Kraszewskiego, utwór słaby pod względem scenicznym ale będący perłą poezyi komedyowej, znudził publiczność, przyzwyczajoną do rzeczy ostrzejszego smaku, a nie umiejącą już odczuwać piękności mowy ojczystej.

A jakiż ztąd wniosek? spytacie.

Oto ten, że w wielkim błędzie byli i są ci, którzy wziąwszy w opiekę teatrzyki ogródkowe, silili się nadawać im jakieś etyczno-cywilizacyjne znaczenie. Po kilku latach próby okazuje się coraz wyraźniej, że teatrzyki wywierają wpływ raczej ujemny niż dodatni, obniżając poziom pojęć artystycznych i psując przesoloną kuchnią smak publiczności. Jest to po prostu spekulacya jak każda inna, na której najlepiej wychodzą dyrektorowie trup wędrownych i kasa teatrów warszawskich.

Nie mam zamiaru moralizować. Wola każdego jest mu prawem i każdy może jak chce, bawić się za swoje pieniądze. Idzie mi tylko o to, abyśmy nazywali rzeczy po imieniu. Jeżeli głównym (i zresztą naturalnym) celem jakiegoś przedsiębiorstwa jest grosz, to nie nadawajmy temu celowi żadnych osłonek filantropijnych, żadnych pretekstów missyi cywilizacyjnej, zwłaszcza jeśli dla owego grosza podajemy ziarno z plewą, a nieraz samą plewę tylko.

Wychodząc z zasady że trzeba rzeczy nazywać po imieniu, nie mogę pominąć kwestyi nader ważnej, podniesionej przez „Tygodnik Illustrowany.“ Dotyczy ona nowatorstwa gramatycznego, srodze trapiącego nas ostatniemi czasy. „Tygodnik Il.“ bardzo słusznie powstaje przeciw piszącym np. powiat *turekski* zamiast turecki, *suwalkski* zamiast suwalski, *petersburgski* zamiast petersburski i t. p. Jest to barbarzyństwo, wprost sprzeczne z duchem i prawidłami naszego języka.

Lecz przy tej sposobności winienem nadmienić że i „Tygodnik Il.“ nie jest wolnym od zarzutu. Trzymając się z jednej strony zasad ścisłego konserwatyzmu, z drugiej wprowadza do pisowni rozmaite nowości, sprzeczne z naturą polskiego języka. Do konserwatyzmu, może przesadnego, zaliczam kreskowane *e* w wyrazach takich np. jak srebro, rzeka i t. p.; do wadliwego nowatorstwa zaś należy łączenie przyimków z rzeczownikami, gdy te są brane w znaczeniu przenośnem. „Tygodnik Il.“ pisze: po-

biegł *dogóry*, odłożył *nabok*, łączy wyrazy takie jak np. *cotchu*, *wskutek* i t. d. Nazywając rzeczy po imieniu, muszę powiedzieć, że są to dziwolągi, jakich w żadnym języku nie ma, nawet w niemieckim, w którym przecież spajanie wyrazów stanowi główną charakterystykę. Niemiec, pisząc że coś położył *nabok*, oddziela trzy wyrazy: „auf die Seite.“ Ten klej, którym gramatycy „Tygodnika Il.“ lepią dwa lub trzy wyrazy w jeden, jest przeciwny duchowi naszego języka z tego względu, że u nas, rzeczownik połączony z przyimkiem, tworzy nowy rzeczownik, często wcale innego znaczenia, np. strój, nastrój; chód, pochód; prowadzenie, wprowadzenie i t d. W wyrażeniu zatem „położył *nabok*“ widzimy rzeczownik „nabok“ w przypadku pierwszym i czytającemu zdaje się, jak gdyby jakiś „nabok“ coś położył. Mimochodem tylko dotykam tej kwestyi, albowiem na gruntowne jej roztrząśnięcie nie ma miejsca w pobieżnej gawędce; szczerze jednak cieszyć się będę, jeżeli ta krótka wzmianka sprowadzi w „Tygodniku Il.“ pożądaną reformę, a przynajmniej wskaże czytelnikom tego pisma iż naśladowanie tej wadliwej pisowni doprowadziłoby do chaosu, z którego nasz język wyszedłby w takim stanie, w jakim był don Quixote po walce z wiatrakami.

Tak tedy, jeśli mamy wierzyć panu dr. Pragłowskiemu, słynny monarcha Persów, Cyrus wnuk Astyagesa, zaszedł był ze swoją armią aż do powiatu Borszczowskiego w Galicyi. Kilka tygodni temu w Michałkowie, znaleziony został skarb starożytny, składający się z kubków, bransolet, naramienników, korony, spinek, paciorków i różnych innych szczerozłotych przedmiotów. Starożytność skarbu nie ulega żadnej wątpliwości; korona, z cienkiej blachy złotej, wyciętej w liście, z których każdy kończy się półksiężycem, zwróconym rogami do góry, oraz inne przedmioty mają charakter wschodni; bransolety są jakby wierną kopią ozdób noszonych w starożytności przez Egipcyanki, lecz w ogóle robota jest nader prosta, niewykończona i to naprowadza na domysł, że skarb ów pochodzi z czasów zupełnie barbarzyńskich, z epoki niemowlęctwa sztuki. Hr. Włodzimierz Dzieduszycki nabył cały skarb, w którym sama wartość złota wynosi około 3,000 rs. i umieścił go w lwowskiem muzeum przemysłowem. Otóż dr. Pragłowski, zbadawszy te zabytki, zapewnia że są to insygnia Cyrusa, poległego w bitwie z Masagetami, stoczonej w roku 529 przed erą chrześciańską. W takim razie skarb ów byłby unikatem, równym co do wartości archeologicznej słynnym wykopaliskom trojańskim Schliemana. Ale zachodzi pytanie, na jakich wskazówkach dr. Pragłowski oparł swoje orzeczenie, skoro na znalezionych przedmiotach nie ma zgoła żadnych napisów, wyobrażeń człowieka lub zwierząt, znajdujących się zwykle na wyrobach ludów wschodnich. Chociaż nam żal rozstać się z myślą że Cyrus kiedyś wędrował po Galicyi, jednakże prawdziwszem zdaje się przypuszczenie, że ów skarb był własnością naczelnika jakiegoś wędrownego i nawpół dzikiego plemienia, z liczby tych, które w starożytności koczowały nad Dniestrem i Prutem; a może zabytki te pochodzą nawet z epoki o wiele późniejszej, z czasu wielkiej wędrówki narodów.

Lecz dajmy pokój archeologii i wróćmy do Warszawy, której nareszcie nieco stalsza pogoda się uśmiecha. Dzięki tej pogodzie zaludnia się na nowo Dolina Szwajcarska, do której wabią dźwięki orkiestry węgierskiej pod dyrekcyą p. Racs-Pala. Pogoda decyduje o powodzeniu: Bilse, ze swoją wyborną orkiestrą, nie ściągał tych tłumów, jakie spieszą usłyszeć czardasza, odegranego przez szesnastu skrzypków, basetlistów i klarynecistów. Nie ujmuję przez to chluby orkiestrze węgierskiej; posiada ona precyzyę, zgodność i dziarskość, charakteryzującą kapele madziarskie, i o ile nie kusi się na wykonywanie uwertur i innych dzieł wymagających większego kompletu, może zadowolnić miłośników muzyki.

PAMIĘCI

MARYI ELŻBIETY KAMIŃSKIEJ.

Szybko przebiegła długą drogę życia,
Jak gwiazdka błysła i znikła w przestrzeni;
Cicha i skromna ze swego ukrycia,
Przesłała kilka swych jasnych promieni,
I w tej wiązance kwiecia myśli, ducha,
Która spuścizną po niej pozostała,
Tęsknicy łzawej czasem się dosłucha,
Co się do lotu w wyżyny zrywała.
I czuć tam dźwięki wyższego natchnienia,
I słowa prawdą i uczuciem drgają;
Młodzieńczej duszy świetlane marzenia
W piękny i barwny wieniec się zwijają.
Jak kwiat w rozkwicie ścina dłoń lodowa,
Tak śmierć ujęła ją w chłodne ramiona;
Zamarły pieśni niedosnutej słowa;
I wiosna życia znikła nie prześniona.
Możeby w świetny płomień się zmieniła,
Ta mała iskra co tak szybko stlała;
Pocóż tak wcześnie ukryła mogiła
Istotę młodą, która czuć umiała?

Wila.

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej.

(Dalszy ciąg).

Bolesław umilkł. Cisza zawisła nad całem zgromadzeniem, i zdawało się że tam w górze w pośród mglistej osłony znowu wieki minione stanęły szeregiem, zadumane, milczące, gotowe spełnić straszną groźbę przez jednego ze swoich synów wyrzeczoną. Bolesław z rękami na piersiach złożonemi stał i milczał, wrażenie było silne, duch ocknął się mimo pęt na niego wciskanych. Ciszę przerwał Łepak.

— Deklamacye wszystkie, rzekł, są pustem słowem, wszechwładztwo klątwy minęło bezpowrotnie, realność wykazała już nicość wszelkich wycieczek myśli w wymarzone jakieś krainy niedościgłych ideałów i każe trzymać się podstawy naszego bytu ziemi, na której wiemy że nam coraz gorzej, że nas czeka ogólne bankructwo i że to winniśmy naszym ojcom i dziadom. Musimy się więc ratować i przedewszystkiem przestać być nowożytnymi bałwochwalcami...

— Tak, tak, zawołał Głowacz wyskakując na środek pokoju i tłukąc zajadle w stół pięścią mówił dalej: precz z nimi! precz ze wszystkiem co nas gwałtem pragnie przemienić w szalonych fakirów wpatrzonych w słońce i blaskiem jego oślepionych. Dopóki tego nie zrobimy, wszelka nasza praca, wszelkie usiłowania będą daremne. Oto ostatnie moje słowo, któremu wierny służę dotąd i służyć będę przez całe życie, jako jedynej formule trzeźwej, wydobytej z ciężkiego doświadczenia, które przekonało aż nadto jasno, że odstępstwo od niego naraża na niepowetowane klęski tworząc Łazarzy politycznych, nędzarzy, którymi lada szuja pomiata kopiąc i opluwając jak na to zasługują.

Stronnicy Głowacza pod przewodnictwem Łepaka hucznym oklaskiem obdarzyli mówcę, większość jednak młodzieży nie wystąpiła z oznakami tego zadowolenia, i w rozprawie zaraz ztąd rozpoczętej, jakkolwiek głównej myśli nie odrzucała, nie dzieliła jednak bezwarunkowo jej treści i robiła pewne wyłączenia ganiąc gwałtowność jej rozwijania. Bolesław ciągle stał milczący dając tem poznać że jeszcze pragnie mówić; korzystając też z chwili przyciszenia rozpraw, zabrał zaraz głos:

— Jak widzę, zdania przed chwilą wyrzeczonego nie przyjęliście, mimo tego nie odstępuję od niego i co więcej, powiem, że nietylko pradziadów moich nie potępiam, ale chlubię się żem ich spadkobiercą, i korzystając z doświadczenia patrząc krytycznie na ich sprawy, to co złe w nich było jako wynik ducha czasu, starać się będę sprostować, naprawić, aby nie wsiąkło w nowe pokolenie, a dobre naśladować...

— Dobre? przerwał Głowacz. Czy czasem nie owe roztruchany pijackiej tłuszczy przechowywane starannie jako relikwie rodzinne? A może sejmikowe burdy, łby na nich pokiereszowane, zrywane sejmy jedne po drugich, stracone sumy neapolitańskie albo żupy wielickie? Pokaż mi choć jedno owo tak przesławne dobro a stanę po twojej stronie.

— Czyż go nie czujecie w piersi swojej? zapytał Bolesław. Czyż samo uczucie gorejące w waszych sercach, którem powodowani zajmujecie się z takim zapałem przyszłem dobrem kraju, nie jestże najpiękniejszym spadkiem jaki przeszłość przekazała obecności? Gdyby to jedno było tylko naszem dziedzictwem, jużby było nieoszacowanym skarbem godnym uwielbienia. A któż je w nas wszczepił, kto je wlał w krew naszą z taką siłą że się z pod niej nikt wyłamać nie może, jeżeli nie nasi ojcowie synowie dziadów tak przez praprawnuków sponiewieranych? Jakże więc takich ojców nie szanować, jak ich nie kochać za tę świętą relikwię przechowywaną pokoleniami i sercem naszem przekazaną?

— Podzielamy twoje zdanie zupełnie, odezwał się Ireniusz, i oceniamy należycie uczucie tak wielkie; ależ to uczucie bezwiednie pielęgnowane było jakby instynktem ptaka wracającego do gniazda po długiej wędrówce w cieplejsze kraje. Rozum nic tu nie działał a nawet nabroił wiele złego i w końcu ubezwładniony zwinął się w kłębek jak polip skazany na pożarcie przez zgraję obsiadłych go pasożytów. Gdyby ojcowie nasi zamiast puszczać się na przeróżne awantury, rozpoczęli byli lepiej tę pracę, którą my zacząć pragniemy, i rozbrat wzięli z płonnemi pragnieniami, na urzeczywistnienie których wyczerpywali wszystkie żywotne siły, stan rzeczy dziś o ileż byłby korzystniejszy. Nie zrobili tego bo brakło im właśnie tego wielkiego uczucia nas ożywiającego, które do właściwej podniesione potęgi, wskazuje jasno, gdzie błąd a gdzie prawda, gdzie droga prosta a gdzie krzywa. Samolubstwo tu przeważyło nawet własny interes dobrze zrozumiany.

— Ireniuszu, odezwał się Bolesław z boleścią i ze zgrozą zarazem, czy miałeś ojca?

— Zwrot tak szczegółowy...

— Pytam się jeszcze raz, przerwał z mocą Bolesław: czy miałeś ojca?

— Dziwne pytanie, odrzekł Ireniusz, cokolwiek zmieszany; miałem, ale ten wszystko stracił po wię-

kszej części zbytnią ofiarnością i umierając w największej biedzie, nam równą przekazał biedę, z której dotąd wydobyć się nie mogę.

— To tak samo jak ja, odezwał się Stanisław: co było, wszystko dyabli wzięli ocukrzone przepyszną deklamacyą, przy której babki i ciotki zużyły po dwie chustki przy oczach i nosie a po trzecią sięgnęły do komody.

— Moja rodzina liczyła się do bardzo zamożnych, odezwał się jeden z młodzieży, a dla mnie w spadku zostały tylko trzy portrety w karmazynowych kontuszach i spis długów niewypłaconych.

— Moja, wrzasnął Głowacz, trzymała zgraję służby, hajduków jak dęby, rezydentów głodnych jak charty, przy uroczystościach strzelano z armat, wytaczano beczki wina, kapela grzmiała, wiwaty huczały: Zjadano całe woły, sążniowe szczupaki, zapijano tokaj i małmazyę a ja wnuk tych godowników, nieraz całą dobę dzwoniłem zębami trawiony kurczami głodu w izdebce pod strychem, po której ścianach można było jeździć sankami. Na wyrażenie oburzenia za przekazane mi ubóstwo tak niezasłużone, dziś słów mi brakuje. Precz więc z nimi! Stare pokolenie to wieko trumny z trupem całej przeszłości. Zabiłem ją gwoździami aby zgnilizną nie zarażało powietrza i powiedziałem, świat stary umarł, nowy od nas się rozpoczyna; budujmy go ale nie oglądajmy się za siebie: niech wszystko co tam się mieści przepadnie, zbutwieje, w proch się rozleci...

Przy każdym wykrzykniku, Głowacz coraz silniej uderzał w stół pięścią, zziajał się, zapienił i nie mogąc już więcej dobitnych wynaleźć wyrażeń, mruczał tylko jak zwierz dziki niepokojony szczekaniem psiarni. Niektórzy z młodych głośno potakiwali, inni ze współczuciem spoglądali na Głowacza jako niewinną ofiarę błędów przeszłości; Łepak szarpał własne odzienie i wyszczerzał zęby gotowe w każdej chwili do ukąszenia: reszta rozmawiała gwarnie starając się niby ułagodzić srogość wydanego wyroku, ale więcej przez przyzwoitość jak uczucie sprawiedliwości. Bonawentura tylko, Haim i trzeci ospowaty zwany Ambrożym, stojąc przy sobie coś się cicho naradzali rzucając spojrzenia ku Bolesławowi, który ręce z piersi zsunął i trzymając je przed sobą założone, podobnym był do posągu rozpaczy. Oczy świecące łzami czy też trapiącym go bólem, świadczyły tylko że to postać żywa ale przebita przerażeniem. Czasem sfałdowało mu się czoło, zadrgały usta, konwulsyjnie, poruszyła twarz... biedak cierpiał, ból go dusił, żal dławił, wstyd za rówienników rumienił... Czasami ręce gwałtownie ściśnięte, chrzęstnęły w stawach, czasem w pięść ściśnięte wzniosły się aby jak młot Cyklopów spaść na głowy bluźnierców... ale były to chwile przelotne: wprędce pokonywał sam siebie, przyciszał się, uspakajał i ożywiał lica uśmiechem spoglądając z litością na tłum go otaczający.

Kiedy po mowie Głowacza, rozmowa wzniecona umilkła, Bolesław spytał cichym, drżącym od wzruszenia głosem, czy może przemówić i spodziewać się powolności słuchaczy...

— Jestem tem co tu słyszałem, mówił dalej, przejęty boleścią niewysłowioną... Zmienić wasze przekonania nadaremna praca, niechże więc nas choć małe pozostanie gronko na dowód, że stara cnota w społeczności nie wygasła, że nie wszystko w niej zamarło co walone obuchem...

— Pozwól, Bolesławie, przerwał Bonawentura stojąc przy nim, że ci przyjdę w pomoc i dam z siebie żywy dowód tego heroizmu ojców naszych a o ile sądzę nic wyjątkowego w naszej społeczności. Ojciec mój zajmował bardzo skromne stanowisko, bo był tylko lokajem na dworze wielkiego pana. Wielką oszczędnością zebrał sobie tyle, że nabył domek z ogródkiem i kawałkiem gruntu w poblizkiem miasteczku. Pan oceniając jego zasługi i zabiegłość darował mu jeszcze na własność kawałek ziemi i tym sposobem przyszłość mego ojca na stare lata była zabezpieczoną.

Ale było nas trzech synów i wszyscy rwaliśmy się do nauki: miejscową szkółkę przebyliśmy prędko mając nadzieję dostania się do szkół gimnazyalnych, ale na to nie było odpowiedniego funduszu. Czekał nas więc tylko termin u miejscowych rzemieślników do czego nie mieliśmy najmniejszej ochoty...

Ogarnęła nas rozpacz, ojciec mój zacny równą boleścią był przejęty, smucił się, dręczył nic wprawdzie nie mówił ale widzieliśmy ile cierpiał i jak ciężkiemi zajęty był myślami. Wreszcie po długich naradach z matką przywołał nas do siebie i słowa które wówczas do nas wymówił zachowałem na całe życie w pamięci.

„Dzieci moje, rzekł, jestem prostym człowiekiem i tylko służbą dworską cokolwiek ogładzonym, wiem jednak z nadsłuchania się rozmów pomiędzy panami prowadzonych, że brak nauki jest głównym powodem wszystkich naszych nieszczęść i że każdego jest obowiązkiem starać się aby w narodzie ciemnych było jak najmniej a jak najwięcej światłych ludzi. Wy, moje dzieci, pragniecie uczyć się a moim obowiązkiem jest przyjść wam w pomoc; postanowiliśmy więc z waszą matką zrobić wszystko co w naszej mocy, a że dochody nasze na to nie pozwalają, będziemy w miarę potrzeby sprzedawać nasze grunta, wreszcie domek z ulubionym mi ogródkiem, abyście ucząc się wyszli na światłych ludzi i przytulili nas do siebie gdy nam kąta i chleba braknie na starość.“

I zrobił to zacny mój ojciec, było to wielkie i bardzo niepewne poświęcenie, spełnił je jednak bez najmniejszego wahania. My uczyliśmy się, bośmy oceniali wielkość ofiary i ta była naszym niejako aniołem stróżem broniącym od zboczeń tak właściwych młodości: między ludzi szedł zagon po zagonie, przyszła kolej na dom z ogródkiem..... rozstali się z nim rodzice bez chwili namysłu, przenieśli się do najętego mieszkania ale pozostaliśmy my, synowie, tych czcigodnych ludzi, prawdziwych bohaterów poświęcenia, i najstarszy jest doktorem, średni profesorem a ja prawnikiem.

Przyznacie zapewne że to jest prawdziwy heroizm natchniony jedynie miłością kraju, w którym przywiązanie do dzieci było drugim dopiero czynnikiem. Dało mu życie podsłuchanie rozmów w salonach, dowód to bardzo silny, że tak jak my tutaj tak i tam myślą o pomyślności ogólnej i że przechodząc różne stopnie pomysłów przez doświadczenie przeprowadzonych, doszli wreszcie do tych samych wniosków co i my, i że to ostrzeżenie jak nazywacie waszą dzisiejszą rozwagę, jest niczem więcej, tylko prostem następstwem pracy ojców naszych, którą pod żadnym względem poniewierać się nie godzi.

— To nic więcej jak tylko ekscentryczny wypadek, wrzasnął Głowacz. Podróż rozmowy przy wybornym kieliszku wina i cygarze hawańskiem, do przedpokoju, ale na tem się i kończy wszystko. Do milionów na dole będących nie przeciska się ona, bo tam trzeba dotknąć się szorstkiej od pracy ręki, z glansowaną rękawiczką nie lubiącej się bratać.

— Mylisz się, Głowaczu, ozwał się Ambroży, ów ospowaty młodzieniec przystępując do Bolesława. Jestem synem prostego zupełnie włościanina, bo nie umiejącego ani pisać ani czytać, a jednak za jego uproszeniem, od córki naszego dziedzica pobierałem początkową naukę, a kiedy go zapytano, dla czego pragnie dać synowi to czego sam nie posiada, odrzekł: „u nas w całej wsi sama prostota, a to nie dobrze. Państwo uczycie dzieci swoje, bo wiecie że potem przy rozumie nie dadzą i sobie i drugim tak łatwo krzywdę zrobić; niech więc i moje dziecko cokolwiek się poduczy a będzie z tego pożytek dla wsi całej. Jeden rozumny wiele dobrego zrobić może. niechże nim zostanie syn mój na większą chwałę Bożą i pożytek moich sąsiadów.“

Uczyłem się więc, a kiedy pierwszy raz ojcu przeczytałem Ewangelią, poczciwy mój ojciec aż się rozpłakał i powiedział: „czytaj mi, moje dziecko, święte te słowa co święto i niedziela, bo to dnie przez Boga wyznaczone, Bogu więc je poświęcić należy. Ale czytaj i te książki co z rozumu wyszły ludzkiego, abyś potem umiał radzić i sobie i drugim.“

W kilka lat później, nauka moja we dworze skończyła się a gdy oświadczyłem, że bardzo pragnąłbym pójść do szkół, mój ojciec naradził się z dziedzicem, wydobył pieniądz z ukrycia ciężko bardzo zapracowany i umieścił mnie w miasteczku u jednego z wikaryuszów katedralnych; urządził spiżarnię z obietnicą jej ciągłego zasilania, zakupił książki, sprawił mundurek, a gdy mu mówiono że to wielki wydatek, który ponawiany corocznie może go zniszczyć zupełnie, odrzekł: „na to nie ma rady. Nasi państwo nie bogacze, prują z siebie prawie żyły na naukę dzieci, toć i mnie godzi się ich naśladować mając tylko jedynaka. Może chybię ale oddaję to wszystko na wolę Boga, bo otwieram dziecku na to oczy czego sam widzieć nie mogę, a z tego zawsze dla nas wszystkich kapnie cosić dobrego. Grosz niełatwo nabyć ale rozum jeszcze trudniej a przy rozumie to i goły przychodzi do poszanowania i majątku. Chudoby jaką mam nie utracę i oddam mu ją w całości w której lepiej będzie się jak ja obrządzać, bo u nas stary prosty rozum a u niego będzie z nauki, z przepatrzenia pomiędzy ludźmi, a ten wiele znaczy.“

Przebywszy szkoły w niższych klasach przy pomocy ojca a wyższe już o własnych siłach, za porozumieniem z ojcem udałem się na praktykę gospodarską już mi znaną po części, w rok otrzymałem pensyą, jako rządca oddzielnego folwarku w pobliżu osady ojcowskiej i zjeżdżając do niej często, stałem się niemal rządcą całej włości i nie szczędząc rad a często i połajań, namawiałem gospodarzy do różnych ulepszeń, z których korzystając wydziwić się nie mogą, że mały chłopiec Ambrozik ma tyle rozumu, iż starych uczy. Nie ma też we wsi żadnego ważniejszego wypadku żeby mnie się wprzódy nie poradzono. Ojciec gdy patrzy na to zaufanie jakiem mnie otoczono, ma zawsze łzy w oczach a potem mówi do sąsiadów: „ot! Bóg mi dał pociechę a wam wszystkim pożytek. Gdyby za mną poszli ojcowie, choćby po jednemu w każdej wiosce, toby się wszystko na dobre odmieniło, bo człek nietylko o sobie ale i o drugich myśleć powinien. Ja też raduję się i sobą i wami.“

Otóż macie, panowie, mały rys prawdziwego poczucia obowiązku obywatelskiego, wprawdzie skierowanego do własnej jedynie, rodzinnej wioski, ale inaczej być nie może. Wydobył je stosunek ze dworem, zapatrywanie się na to co robi, rozmowy, rozwaga która na prawdę ojca mego pchnęła do heroizmu.......

— Do heroizmu! ozwało się kilka głosów. Tak prostej i naturalnej rzeczy nie nadajważe tak wielkiego znaczenia.

— Sądząc tak mylicie się najzupełniej, odezwał się znowu Ambroży. Aby samemu uznać się nic nieumiejącym, na to trzeba niezmiernego rozsądku; aby w takiem przekonaniu uznać potęgę nauki i zapragnąć ubogacić nią własne dziecko, które mogłoby później pogardzić własnym ojcem i nazwać go głupcem, ciemięgą, niedołęgą, jak to przed chwilą

sami zrobiliście, to trzeba na to wielkiego poświęcenia, natchnionego przez równie wielkie uczucie. Gdyby ojciec mój zajęty był jedynie dobrem materyalnem, to mając mnie swoim spadkobiercą, czyżby potrzebował się kłopotać o byt mój przyszły, jaki sam posiadając był z niego zupełnie zadowolony? Gdyby znów powodowany pychą, chciał syna podwyższyć nauką nad drugich, to nie zapominajcie, że w liczbie tych drugich sam się mieścił i pierwszy padłby ofiarą poniżenia jakieby dla innych gotował; zresztą pycha jako namiętność płaska a nawet podła, do zbyt wielkich poświęceń nic jest zdolną. Coś złoży na ofiarę swojej buty: troszkę grosza, troszkę zabiegu, starań i trudu, ale nic takiego coby ją samą mogło obrazić, coby miłość własną człowieka na szwank choćby w najdalszej przyszłości mogła narazić. Tu właśnie mógł zajść ten wypadek: syn coś umiejący przy ojcu nic nie umiejącym, to wieczny wytykacz jego ciemnoty, to poniżenie jakiego nie ma większego dla ojcowskiego serca.

Ojcem więc moim do czynu względem mnie dokonanego, powodowało nie wyrachowanie, nie pycha, ale wyższe uczucie, może bezwiednie obudzone, ale zawsze wielkie, spotęgowane do niezmiernej siły, które słusznie nazwałem poczuciem obowiązku obywatelskiego.

Od najpierwszego zawiązku naszego społecznego tkwiło ono w sercach wszystkich, stanowiło główną treść życia obywatelskiego, a choć później zamknięte w szczupłem kółku, odsuwało od wszelkiej praktyki większość, nie mogło jednak tak być z nich wydarte, aby jakieś szczątki z niego nie pozostały. Przy ich to pomocy ojciec mój podniósł się nad swoich sąsiadów, i skrzepiony tem co widział i słyszał w wyżynie społecznej, dźwignął się jako ojciec i obywatel i zaprawdę stał się bohaterem i spełnił prawdziwy heroizm.....

— Jaki i kura spełnia, przerwał Głowacz, w obronie piskląt na lwa się rzucając. Wszystko są to sofizmata pięknie przedstawione, ale nie zbijające zasady przez nas przyjętej! Wreszcie przysposobienie czterech zdolnych pracowników krajowi, cóż znaczy w obec potrzeb go przygniatających? Pokażcie mi choć jedno przedsięwzięcie skierowane na zgniecenie przesądu przytłaczającego masy społeczne, z którego ubóstwo spływa na kraj cały, a przyznam że nie wszystko było złem w tem co potępiamy.

— Dostarczę go z samego siebie, odezwał się Haim młody Izraelita, ciągle znajdujący się w towarzystwie Bolesława. Ojciec mój prosty żyd, mówiący bardzo źle po polsku, przywiązany fanatycznie do zwyczaju przodków swoich tak pogardzonych nietylko przez lud ale i przez wyższe sfery społeczne, jest dotąd tylko tak zwanym pachciarzem, zajmującym się rzezią, pieczywem i przerabianiem mleka. Było nas dwóch synów i trzy córki, ja zaś jako najstarszy w krymce, z pejsami i hałacie na plecach, jak tylko podrosłem używany byłem do różnych posług w zawodzie handlowym mojego ojca, nosząc do dworu masło, sery i ćwiartki mięsa, których głównym był dostawcą. Mimo tego o nauce nie zapomniano, belfer z poblizkiego miasteczka sprowadzony na mieszkanie, rozpoczął ją z największą starannością ale bez żadnej dla mnie korzyści. Cierpiałem męki tem sroższe, że zamiast współczucia słyszałem w domu same połajania i byłbym popadł w rozpacz gdyby nie pomoc zacnych ludzi, ojców i dziadów waszych, którzy poznawszy zapał mój do nauki ale nie talmudycznej, nie opartej na kabale przepełnionej najróżnorodniejszemi dziwactwami, tylko do świeckiej, dającej prawdziwą oświatę, nie wyrwali mnie byli z pod przewagi starego obyczaju, będącego już dziś nieszczęściem społecznem.

Najtrudniejszą tu rzeczą było złamanie uporu ojca, który od wieków utrzymujący nas w odrębności, obwarowany religijnością zagrażającą za odstępstwo od niej potępieniem, stał się niejako wybitnym rysem charakteru naszego narodowego, nieztartego niczem, nawet strasznem prześladowaniem. Przeparto go jednak, ojciec w końcu uległ, może nie tyle pod naciskiem moralnych względów jak czysto materyalnych, dających nadzieję wielkich w przyszłości dla syna korzyści. Nie przypuszczam jednak aby i moralne pobudki pozostały tu bez wpływu.

Myśl, która się do tego zajęcia młodym żydkiem obudziła, niepodobieństwo aby przejmując tych co ją podnieśli, nie wcisnęła się i do umysłu ojca mego i nie wpłynęła razem z widokami materyalnemi na powzięte co do mnie postanowienie. Jeżeli zło psuje, dla czegóż dobro nie miałoby podnosić? Jeżeli zło obudza złe myśli, dla czegóż dobro nie miałoby dobrych powoływać do życia?

Myśl przyszłych moich opiekunów była dobrą, a pod względem obywatelskim zacną i szlachetną; czyż mam ją przedstawiać bliżej? Wprawdzie jedna gałązka odjęta od pnia spróchniałego, aby w nowych warunkach nowe rozpoczęła życie, pożyteczne dla ogółu i z nim solidarnie złączone jest drobnostką prawie nie znaczącą; ale mi nie idzie o korzyści ztąd otrzymane, tylko o pobudki do ich otrzymania powstałe. Wszelkie podziały, społeczne spójnie ogółu rozrywające, są jego śmiertelną raną prędzej czy później zagubę wszystkich sprowadzającą. Świadomość tego niebezpieczeństwa nieraz długie lata a nawet wieki jest tajemniczą; wydobywa się ona wolno z wielkim trudem, i nim wcieli się w ogół, także lat niemało potrzeba. Środki też zaradcze przeciw temu niebezpieczeństwu, wyrabiają się także przez długie lata. Zacne myśli je wprzód przewidziały, w rozwadze ratunku przechodzą przez różne fazy, zawody, działają na ducha czasu ale i duch czasu na nich oddziaływa. Ztąd trudność nietylko znalezienia praktycznego środka, jak możności ożywienia go czynem i zrobienia prawem wszystkich moralnie obowiązującem.

Przyznacie że myśl, pod działaniem której zostałem tem czem jestem, zdaje mi się że jest najpraktyczniejszą, bo daje obywateli kraju z jasnem pojęciem ich obowiązków. Myśli zaś podobne nie są wyrobem chwili ani nawet jednego pokolenia. Do każdej prawdy ludzkość ciernistą dochodzi drogą, choć zdobywszy ją dziwi się że mogła być przez nią niewidzianą. Początek tych dróg ginie w pomroce wieków, jest ich mnóstwo wielkie bo i celów do których prowadzą równa liczba: wszystkie one wyłoniwszy się snują przez całe pokolenia, rosną, wzmagają się, jak strumyki i potoki górskie przemieniane w rzeczki i rzeki. Koryta do ich przepływu kują lata i wieki, wzmacniają, rozszerzają, zmieniają kierunek ale koniec końcem wszystkie pracują na ich utworzenie, żadnemu z nich przypisać nie można z tego zasługi, i żaden z nich ani rok ani wiek nie może powiedzieć że on jedynie ręce do tego przyłożył. W ten sam sposób płynie myśl przez cały ustrój społeczny: w początku jest niejasną, zaledwie pobłyskującą jakiem światełkiem prawdy; mijają lata i wieki, światełko to rozszerza się, wciska się w umysły, opanowywa serca, wydobywając się do czynu spotyka z zawodem, przygasza się, prawie niknie, przebyte doświadczenie do nowego ją powołuje życia, i w tym prądzie prącym ją ciągle naprzód, przechodząc przez pokolenia, owa myśl, owe światełko zamkniętej w niej prawdy, tak się rozpromienia, że przed ostatniem pokoleniem staje w całej swej potędze i domaga się na gwałt urzeczywistnienia. Jakże więc myśl jakąś można uważać za wyłączną własność danej chwili i ludzi w niej żyjących? Myśl też w imieniu której mnie wzięto w opiekę, która nawet przełamała upor zastarzałego przesądu, pod temi samemi rozwijała się warunkami i jeszcze niemało wymagała lat pracy, żeby w całej pełni wszczepioną została w przekonanie całej społeczności.

Haim umilkł, myślące jego czoło rozjaśniło się, duch zapadł w zadumę, słuchacze badawczego i ciekawego zarazem spojrzenia nie spuszczali z niego.

(d. c. n.)

WIEDEŃ I ŻYCIE WIEDEŃSKIE.

PRZEZ

Wiktora Tissot.

(Autora słynnej „Podróży do kraju miliardów“.)

Streszczone przez J. B.

(Dalszy ciąg).

II.

Nieco przed północą, gondola przeniosła mnie na pokład gotującego się do odpłynięcia *Massimiliano*, którego czerwone latarnie krwawe rzucały odbłyski na migotającą powierzchnię laguny. Przybywając w nocy na okręt, szczególniejszego doznaje się wrażenia; ciemność potęguje nieznane, przysłonięte zasłoną ciemności i tajemniczością osłania otaczające przedmiota: w przestrzeni rozchodzi się jakby szept niezrozumiały budzący podejrzenie i ostrzegający o zdradzie.

Niebo zasiane gwiazdami jaśniało promieniejącem i jakby rozmarzonem światłem malowanych szyb gotyckich. Przed nami wznosił się pałac Dożów, którego kamienne kwiaty zdawały się rozkwitać pod czarodziejskim wpływem księżyca; kopuły Ś. Marka lśniły jakby posrebrzone, a żółty lew zegarowej wieży zdawał się wyłaniać groźnie z poza przezroczystego cyferblatu, jakby chcąc przyszłe przepowiadać wypadki.

Dźwięk dzwonu okrętowego rozległ się po raz ostatni, łańcuchy zaskrzypiały, podniesiono kotwicę — odpłynęliśmy.

Minęliśmy Murano drzemiące przy niebieskawem świetle weneckich nocy i płynęliśmy wzdłuż pustych wybrzeży Lido: powietrze stawało się nieco chłodniejsze, fale morskie lekko kołysały statkiem.

— *Un poco di bora* (trochę bory), rzekł mi stojący przy mnie sternik.

Bora — dawny Boreasz — i siroco (siroko) są to dwie plagi Adryatyku. Bora jest zimny jak śnieżyste wyżyny z których się podnosi, siroko ciepły jak oddech Wezuwiuszu. Gdy wieje siroko, żołądek nie może przyjmować pokarmów, restauracye weneckie zakrawają na pustynie; gdy zaś bora dąć zaczyna, policya nakazuje rozciągać sznury wzdłuż ulic, dla ustrzeżenia przechodniów od upadku. W roku 1875 wiatr ten wykoleił cały pociąg kolei żelaznej i przewrócił go. Bora powstaje u stóp Nanos *) i staje się prawdziwym wichrem morskim

*) Nanos czyli Monte-Re, Królewska-góra (1295 metrów) nazwana tak na pamiątkę Alboina króla Lombardów, który zatknął na niej swoją szpadę na znak podboju. Nanos wznosi się po nad opustoszałą płaszczyzną Carso, gdzie krzyżują się drogi do Niemiec i do Włoch.

na przestrzeni trzydziestu mil włoskich. Triest leży w promieniu tej burzy, rozciągającej się aż do przylądka Salvatore. Dawniej bora bywał peryodyczny i trwał najmniej siedm dni; zapowiadał go huk i jakby wycie odbijające się w górach, czerwony odcień morza, jasność i świetność nieba; dziś bora trwa tylko trzy dni ale jest daleko gwałtowniejszy. Nie darmo Horacy nazywa Adryatyk „burzliwem morzem.“

Dopłynęliśmy do krańca Lido. Z małego, na palach zbudowanego domku, na dachu którego wznosił się rodzaj belwederu, wypłynęła łódź; statek nasz zwolnił biegu i jeden z majtków rzucił linę zbliżającej się łódce. Celnicy towarzyszący nam z Wenecyi wyszli jeden za drugim z kajuty, gdzie grali w karty, i z bronią przerzuconą przez ramię, trzymając się sznurowej drabiny, zeszli do oczekującej na nich łodzi. Widziałem jak usiadłszy w niej owinęli się płaszczami i zniknęli wkrótce w ciemnościach nocy.

Przed nami roztaczało się pełne morze w swej dzikiej niezmierzoności i z strasznym hałasem poruszało się w swem łożysku; księżyc oblewał bladem światłem wzburzone jego łono: zdawało się że śnieg pokrywa spienione fale.

Nie wiem czy może być większa rozkosz na świecie, jak spędzić noc pod jasnem gwiaździstem niebem na pomoście okrętu. Bora szalał zawzięcie, ale zdołałem mu się oprzeć, owinięty w płaszcz mocno trzymałem się masztu.

Niedługo trwała moja uciecha; kapitan kazał mi opuścić pomost, z żalem przeszedłem do kajuty i porzuciłem się na dywanowej otomance. Niebawem jednak przekonałem się że kapitan miał słuszność, albowiem okręt zaczął rzucać się gwałtownie jak wspinający się koń, dał się słyszeć wielki szum wody wyrzucanej z siłą trąby, bora wył jakby gromada wilków.

Powoli oswoiłem się jednak z tą szatańską muzyką i usnąłem tak jak gdyby w loży Opery Wagnera w Bayreuth. Gdym się obudził, szary i niepewny dzień przedzierał się przez drzwiczki prowadzące z pomostu na dół okrętu, bora prawie ustał, zaczynało świtać: mogła być szósta rano.

Na lewo, przez lila mgłę, przezierało Capo d'Istria, oraz rysowały się w białawym obłoczku wybrzeża dalmackie i styryjskie, ostre i nagie; w miarę zbliżania się naszego, uwydatniały się kształty i wypukłości wybrzeży, przedmiota powiększały się i ucieleśniały, jak gdyby latarnia czarnoksięzka malowała obraz na satynowanem płótnie horyzontu. Ukazywał się szczyt drzewa, cypel skały, wierzchołek wieży, szczyt masztu, dach domu, byliśmy świadkami porodzenia kraju, utworzenia obrazu, tak jak on powstaje w myśli i w wyobraźni artysty.

Ale któż zdoła opisać uroczy widok Triestu wyłaniającego się nagle z błękitnych fal, biały i piękny, niby nowa Wenus. Słońce zarzucało mu na ramiona swój płaszcz złocisty, a Triest uśmiechał się radośnie i przeglądał w zwierciadle morza, ciesząc się że taki jest piękny. Powietrze było przejrzyście przezroczyste, a niebo tak wiernie odbijało się w morzu, iż zdawało się że płyniemy między dwoma firmamentami; na lewo szczyty wysokich gór ubielone świeżo upadłym śniegiem, wydawały się z oddali jakby pokryte stadami gołębi. Ulice rozpiętrzone w tarasy, bukiety drzew oliwnych i cyprysów, ruiny starożytnego pałacu, nadają stolicy Istryi jakąś świetną wschodnią cechę. Oświecone promieniami jutrzenki z tym opiewanym przez Homera fijoletowym odcieniem, marmury pałaców przybierają tony żywego ciała.

Spotkałem na pomoście młodzieńca z małemi wąsikami i w chwili wylądowania zapytałem go po niemiecku czy zna Triest i czy nie mógłby wskazać mi w którym mam stanąć hotelu; odpowiedział mi złą wymową i niekoniecznie gramatykalnie że pierwszy raz płynął po Adryatyku.

— Ach! pan jesteś Francuzem, zawołałem z nieukrywaną radością, poznałem to po akcencie z jakim mówisz po niemiecku.

— Tak, jestem Paryżaninem.

— Kiedy tak, pozwól mi pan zaproponować sobie przymierze zaczepno-odporne w celu wyszukania hotelu.

— Przyjmuję najchętniej.

Statek zarzucił kotwicę; pasażerowie stanęli rzędem aby z kolei wysiąść na ląd. Zaledwie wylądowawszy musieliśmy wytrzymać szturm całej bandy *facchini*'ch gestykulujących i wrzeszczących jakby dzicy irokejczycy, ale odparliśmy zwycięzko napastników i zostaliśmy panami placu boju, tylko że nie wiedzieliśmy w którą udać się stronę. Wybawił nas z kłopotu jakiś wygalonowany portier hotelowy, zapraszając do hotelu stojącego przy głównym placu naprzeciw portu; poszliśmy za nim i nie żałowaliśmy tego.

Przebrawszy się cokolwiek wybiegliśmy na miasto, chodząc bez celu tu i owdzie. Przybywającemu do Triestu z Wenecyi, zdaje się że jest jeszcze we Włoszech. Wrą życiem gwarne i wesołe ulice; typy są czysto włoskie. Kobiety odznaczają się wdziękiem i powabem południowym, połączonym z plastyczną pięknością Wschodu. Po ulicy chodzą z gołemi głowami, i bogate czy biedne, stare czy młode pudrują włosy, jak dawne markizy.

Mówią tu wszyscy po włosku tak jak i w Medyolanie, Padwie lub Rzymie; nawet sierżanci miejscy zapytywani przez nas po niemiecku odpowiadali nam po włosku. Na poczcie także urzędnicy mówili po włosku. „Umieją dobrze po niemiecku, rzekł nam jakiś stary wyorderowany wojskowy, ale nie chcą mówić tym językiem.“

Żywe i ruchliwe stronnictwo włoskie składa się z ludu i małego mieszczaństwa. Wszystkie dzienniki, z wyjątkiem rządowej *Gazety Triestańskiej* nie mającej prenumeratorów, popierają to stronnictwo. Ale i Prusy pożądliwie spoglądają na Triest który otworzyłby im morze Śródziemne i drogę do Lewantu, i w tej kwestyi niemieckie sympatye niektórych ministrów włoskich, jeszcze kiedyś na ciężką wystawione będą próbę. Wtedy może przypomną sobie na Półwyspie że Rudobrody kazał zaorać zgliszcza zbuntowanego Medyolanu, a Niemcy średniowieczne trzymały miecz zawieszony nad gardłem Włoch.

Cóżby znaczyła Austrya bez Triestu? oddzielona od reszty świata, byłaby jakby uwięziona między Alpami Styryjskiemi i Karpatami. W rzeczywistości Triest jest wielkim portem Dunaju.

Triest dzieli się na trzy strefy: część leżąca nad brzegiem morza, to bogate i pomnikowe miasto, tu wznoszą się pałace, teatr, hotele, Muzea, Tergestes, fontanny marmurowe; tu latają stada gołębi w błękitnem powietrzu, tu roztaczają się wielkie słońcem rozjaśnione place i wiecznie zielone publiczne ogrody. Corso, są toześrodkowane arterye przemysłu i handlu; tu mieszczą się konsulaty, banki i sklepy. Po za tym niezmierzonym szeregiem magazynów, składów, biur, sklepów, dzielnice mało-mieszczańskie i ludowe są jakby przyciśnięte do urwistych pochyłości góry.

Gubiliśmy się w tym nierozwikłanym labiryncie ciasnych uliczek, w których koniecznie iść trzeba jak gęsi, jeden za drugim, jakby w jakiem arabskiem miasteczku. Promienie słoneczne przesuwają się jak ogniste węże po murach zniszczonych domów, rozrzucając iskierki światła na wschodnie materye, złotem haftowane kaftany, jaskrawe jedwabne chustki do nosa porozwieszane na drzwiach kramarzy. Wysunięte okna wznoszą się nad głowami przechodniów, biała ręka podnosi czerwoną firankę i czarne oczy wlepiają w ciebie ogniste spojrzenia: można śmiało wejść do haremu, nie obawiając się eunuchów.

Była to sobota, dzień targowy, co nastręczało wyborną sposobność przyjrzenia się kostiumom i ludności okolicznej; targ odbywał się właśnie po za naszym hotelem, a był to widok bardzo malowniczy.

Wystawcie sobie wielki plac pokryty jaskrawo pomalowanemi barakami, improwizowanymi stołami, przenośnemi kramami ocienionemi wielkiemi parasolami niebieskiemi, białemi, żółtemi i zielonemi. Tu piętrzyły się bezładnie stosy marchwi, a tuż obok kupy rzepy koloru starej saskiej porcelany. Pory ze swemi długiemi korzonkami wyglądały jak małe dyscypliny, a sałaty ze swemi pozwijanemi, sztywnemi i świecącemi liśćmi, zdawały się być wyrobem fabryk szkła z Murano; rzodkiewka, powiązana w małe pęczki, wyglądała z daleka jakby bukieciki z pączków różanych, najrozmaitsze jarzyny i owoce dziwną z sobą barwami swemi tworzyły sprzeczność. Piękna rozmaitość kostiumów tworzyła drugi plan ciepły i różnobarwny, uwydatniający jeszcze bogactwo martwej przyrody. Wieśniaczki słowiańskie odznaczały się śnieżno-białem nakryciem głowy, podobnem do noszonego przez Siostry miłosierdzia; czarna, biało haftowana dalmatyka, podbita baranią skórką sięga do połowy łydek, nie skrywając zgrabnych nóżek. Mają cerę śniadą, łagodne i ładne oczy, włosy kruczej czarności. Na szyi, zamiast medalionów, noszą złote monety z popiersiem Maryi Teressy, a na śpiczasto zakończonych paluszkach mają pełno pierścieni starożytnych. Po za wielkiemi naczyniami świeżej wody, stali rybacy z wysp Veglia, Cherso, Lussin i Sansego. Na wyspie Cherso poławiają się w słodkich wodach jeziora Varna, ryby nadzwyczaj poszukiwane; morska fauna zatoki triestańskiej zaleca się bogactwem morza Śródziemnego. Oprócz najróżnorodniejszych ryb i raków, poławiają się tu sardynki tuńczyki. Uprawa gąbki znaczne przynosi korzyści mieszkańcom wybrzeży. Warto obejrzeć w Muzeum triestańskiem okazały zbiór przepysznych gąbek, wyłowionych na wybrzeżach Istryi i Dalmacyi. Wyjęta z wody gąbka jest zupełnie czarna i dopiero skutkiem mycia i oczyszczania bieleje jak mleko. Daje się rozmnażać przez zapuszczenie w morzu na kiju kawałka gąbki; pływające zarodki innych gąbek osiadają na nim i tym sposobem powiększa się, różne przybierając kształty.

(d. c. n)

Kronika Paryzka.

(Dalszy ciąg).

Wystawy powszechne dla narodów pracowitych i przedsiębierczych dają bardzo wiele pożytku. Za przykład mogą w tej mierze posłużyć Anglicy umiejący wypełniać wszelkie braki dostrzeżone. W czasie wystawy londyńskiej w pałacu kryształowym w r. 1851, uznali oni swoją niższość we wszystkich wyrobach wymagających ozdoby a tem samem dobrego gustu. Książę Albert dbający nadzwyczajnie o sławę i pożytek przybranej ojczyzny, stanął na czele stowarzyszenia obmyślającego środki zaradcze

W tym celu założono liczne szkoły rysunkowe jakoteż odpowiednie muzea. Wpływ tych instytucyi był cudowny, bo gust wyrobionym został już nie tylko pomiędzy robotnikami ale i pomiędzy publicznością kupującą.

Pracując wytrwale Anglicy zostali współzawodnikami Francuzów uważanych na tem polu za mistrzów.

W roku 1867 można już było dostrzedz znaczny postęp, a obecnie jest on niezaprzeczony i bijący w oczy. Wyroby z gliny i ze szkła, fajanse ozdobne i t. p. przedmioty, zwracają na siebie ogólną uwagę. Są tam wprawdzie i pomysły dziwaczne jak naprzykład kanapy kryształowe, ale ostatecznie znać wszędzie gust wyższy jaki muszą przyznać najzaciętsi nawet przeciwnicy. Szczególną zwracają na siebie uwagę kominki dębowe i meble służące do przybrania sypialni i pokoju jadalnego. Piękne rzeźby wykonane są zręcznie i dowcipnie, a tak zwany pawilon księcia Galii pod względem przedmiotów w nim zebranych jest arcy-dziełem w swoim rodzaju. Patrząc na te okazy wygody i zbytku, będące u Anglików w codziennem użyciu, pomimo woli staje w myśli opis życia domowego w epoce Elżbiety, uskuteczniony przez historyka Hollingshed.

„Rzadko można było znaleść w mieszkaniach komin, nawet w miastach największych. Zapalano ognisko przy murze a dym wychodził drzwiami, oknami i dachem.

Na wsiach często bardzo zwykły płot stanowił ścianę domów, zabezpieczając bardzo niedokładnie od zmian temperatury. Wygodnisie sypiali na siennikach słomianych, a konieczne wzniesienie dla głowy stanowił klocek sosnowy zastępując dzisiejsze poduszki edredonowe. Zamiast podłogi drewnianej ubijano ziemię po mieszkaniach na podobieństwo tak zwanego klepiska po stodołach.

Nieczystość tam panowała największa; zamiatano tylko wtenczas skoro nagromadzone śmiecie przeszkadzały do chodzenia. Prostem następstwem ówczesny stan zdrowia był opłakany. Panowały ustawiczne epidemie dziesiątkujące ludność szczególniej wiejską.“

Jakaż ogromna różnica dzisiaj. Nędza dawniejsza zastąpiona została bogactwem prawie niewyczerpanem, a przedmioty służące do codziennego użytku warstw średnich, odznaczone są przepychem i zbytkiem nieznanem dawniej nawet na pokojach królewskich.

Źródłem tego bogactwa jest pracowitość, przedsiębierczość i wytrwałość angielskiego ludu. Anglia posiada wprawdzie w różnych częściach kuli ziemskiej czterdzieści pięć kolonii mających dwieście pięćdziesiąt milionów ludności: w krajach uległych władzy Jej Królewskiej Mości słońce nigdy nie zachodzi i nie tylko w teraźniejszości ale i w przeszłości żadne inne państwo nie może wytrzymać porównania z potęgą Wielkiej Brytanii.

Każdy Anglik powtarza z dumą to zdanie ministra Beakonsfield'a, patrząc z lekceważeniem na inne narodowości zamknięte w ciasnych obrębach stałego lądu.

Statystyka jednak jako oparta na rachunku niweczy wiele błędnych uprzedzeń. Otóż w ostatnich czasach wytworzoną została tak nazwana szkoła Manchester utrzymująca z kredką w ręku: że kolonie tak europejskie jakoteż w innych częściach kuli ziemskiej, nie tylko nie przynoszą pożytku ale przeciwnie są ciężarem dla Anglii.

W czasie systemu zakazowego, mówią oni, ważną było rzeczą mieć zapewnione targowisko do zbytu wyrobionych przedmiotów, ale przy dzisiejszej wolności handlowej utrzymywanie kolonii jest zupełnie nieużyteczne; służą one jedynie magnaterii do łatwego mieszczenia młodszych synów w administracyi, skarbie, w wojsku lub marynarce. Wymiana towarów z koloniami nie wynosi nawet czwartej części ogólnego handlu angielskiego, a tymczasem spowodowywa niemałe wydatki, bo Anglia zniewoloną jest utrzymywać w różnych częściach kuli ziemskiej dwadzieścia pięć tysięcy wojska drogo opłacanego, a w Indyach, korpusy angielskie i krajowe wynoszą trzysta trzydzieści tysięcy wojska liniowego.

Opuszczenie kolonii nie tylko nie zmniejszy handlu zamiennego ale przeciwnie powiększy go, jak tego są dowodem Stany Zjednoczone. Skoro Ameryka północna była zależną od Anglii, brała zaledwo towarów za półtora miliona funtów szterlingów a dzisiaj pomimo wysokiego cła bierze przeszło za dwadzieścia milionów funtów.

Te i tym podobne rozumowanie ekonomistów politycznych jako oparte na cyfrach zrobiło silne wrażenie na umysłach angielskich. Wywiązane zostały zacięte rozprawy tak w pismach jakoteż na zebraniach publicznych i nowe wyobrażenia zdawały się przerażać chwilowo; lord Palmerston zwrócił Grecyi wyspy Jońskie, nie wywoławszy najmniejszej wrzawy i powstało silne stronnictwo dla którego los Turcyi i Konstantynopola a tem samem i Indyi jest jak najzupełniej obojętnym. Bliższy jednak rozbiór przedmiotu wykazuje wielkie znaczenie kolonii angielskich. Ochraniają, one Anglią od rewolucyi i wstrząśnień wewnętrznych, dozwalając na rozwój wolności nieznany w tym stopniu w żadnem innem państwie europejskiem. Przyczyną tego jest łatwość mieszczenia na korzystne urzędy w koloniach już nie tylko synów arystokracyi i szlachty, ale i synów mieszczaństwa, jeżeli ci posiadają odpowiednie uzdolnienie naukowe.

Wykształcony Anglik znajdzie zawsze właściwe i dobrze opłacone zajęcie. Rodziny nie lękają się przybytku dzieci bo ich los jest zapewniony, to też wzrost ludności jest znaczny. Anglia więc nie przedstawia najmniejszego ogniska dla socyalizmu tyle groźnego na stałym lądzie. Źródło jego zaschło w samym zarodzie, bo kolonie odciągają zbywającą ludność wykształconą. Odmienne byłoby zupełnie położenie, gdyby osady przestały być własnością Wielkiej Brytanii.

Zwiększająca się coraz bardziej liczba ludzi wykształconych a nie zajętych byłaby gotowym materyałem dla socyalizmu, znajdującego żywe poparcie w proletaryacie wynoszącym milion osób bez utrzymania. Proletaryat ten nic nie żąda prócz chleba i mięsa w dzień, a ciepłego schronienia w nocy, poprowadzony jednak przez ludzi wykształconych, mógłby stawić rozleglejsze żądania burzące obecny układ społeczny. Walka wewnętrzna spowodowałaby zupełną zmianę w zasadniczej ustawie angielskiej.

Po licznych sporach prawda ta uwydatniona w całej potędze, wywołała silny opór przeciwko wyobrażeniom szkoły Manchester i tak zwanego stronnictwa liberalnego. Dzisiaj żaden minister nie ośmieliłby się ustąpić jednego cala z posiadłości angielskich, a nawet chętnie odebranoby wyspy Jońskie, gdyby na to pozwalały względy przyzwoitości politycznej. Anglia więc nie zwalnia ale zacieśnia węzły łączące ją z osadami i na wystawie paryzkiej wyroby jej rozłożone są z dumą w środku płodów Australii, Indyi i innych drobniejszych kolonii.

Z osad angielskich Australia, Indye i Kanada zajmują najwięcej miejsca na wystawie, udział innych jest bardzo nieznaczny. Nowa Zelandya wysłała tylko wełnę i fotografie swoich wulkanów, a ziemia Van Diemen pół tuzina szynek, mających jedynie tę zaletę że przybywają z drugiej pół kuli ziemskiej.

W dziale indyjskim przedewszystkiem zwracają uwagę przedmioty zbytku. Drogocenna broń jakoteż rozmaite przyrządy na konia, jak siodła, czapraki i tym podobne przedmioty, wyrobione są w Ahmedabad w Mysorze. Wszystko to przyozdobione jest w złoto, srebro i drogocenne kamienie, może nawet aż do zbytku. Rycerz i koń przybrani w ten sposób błyszczeć będą jak świętojańskie robaczki. W dalszym ciągu można dojrzeć emalią z Jejpore, wyroby z kości słoniowej, rzeźby na drzewie, a nareszcie ogromny posąg bronzowy ofiarowany księciu Galii przez jednego z kupców bombajskich.

Okazy te jednak przepychu wschodniego, nie wyłączając nawet szali i dywanów, są raczej ozdobą aniżeli podstawą handlu wyrobów i płodów indyjskich. Należą one więcej do ciekawostek aniżeli do przemysłu żywotnego opartego na przeszłości i mającego przed sobą przyszłość. Chcąc mieć wyobrażenie w jaki sposób żyje dwieście czterdzieści milionów ludzi, trzeba zajrzeć do skromnej szafki z niewielkiemi półkami, gdzie w szufladkach małych rozmiarów zobaczymy: ryż, bawełnę, indygo, kawę wełnę, jedwab, cukier, herbatę etc. etc. etc. Płody te z dodatkiem opium, którego próbek nie dostrzegliśmy na wystawie, są podstawą handlu wywozowego. W roku 1876 ogólna cyfra sprzedanych towarów wynosiła pięćdziesiąt ośm milionów funtów szterlingów. W wykazie w tym celu przysposobionym bawełna zajmuje pierwsze miejsce bo przeszło trzynaście milionów funtów, opium jedenaście milionów funtów. Wyroby z kości słoniowej przedstawiają zaledwo cyfrę sto szesnaście tysięcy funtów, drogie kamienie i klejnoty ośmdziesiąt tysięcy funtów, a wyroby jedwabne i bawełniane zaledwo dwa miliony funtów szterlingów. Dawne ognisko różnorodnego przemysłu i sztuk dzisiaj dostarcza jedynie materyału surowego i artykułów żywności. Warunki postępu są nieubłagane i biada narodowi nieumiejącemu przyswoić nowych prawideł rozwoju pracy. Innego jednak jest zdania pan George C. M. Birdwood, który w podręczniku swym do wystawy indyjskiej wydanym pod tytułem *Handbook to the british indian section*, wyroby indyjskie stawia na czele przed wszystkiemi innemi tego rodzaju. Wedle jego zdania, wartość ich tem większa, bo od trzech tysięcy lat robione są wedle jednych i tych samych wzorów. Z oburzeniem mówi o maszynach zastępujących ręczną robotę szali i dywanów, i z dziwną uczuciowością jak na Anglika, opisuje dawny stan wioski indyjskiej, dopóki jej mieszkańcy nie znaleźli współzawodnictwa w wyrobach mechanicznych.

Na nieszczęście dla Indyan, niepodobna walczyć z przeznaczeniem ani wyłamać się z pod nieubłaganych praw postępu. Przed stu pięćdziesięciu laty Indye zajmowały się prawie wyłącznie przędzą, tkaniną, wszelkie naśladowania Włochów i Flamandczyków były nieudatne; odkąd jednak rękę ludzką na tem polu zastąpiły maszyny i para, targi europejskie zamknięte zostały dla tkanin indyjskich, a nawet w roku 1876 Anglicy za czterysta milionów franków wyrobów bawełnianych i wełnianych wprowadzili do swych posiadłości azyatyckich. Nie słusznie więc pan Birdwood narzeka na zakładane fabryki w Bombay.

Bezwątpienia turkot spowodowany działaniem pary przeszkadza śpiewom indyjskiego ludu; wielkie kominy dymiące nie ze wszystkiem są zgodne z zasadami piękna; zgromadzona ludność w fabrykach ściśnięta jest w murach, zamiast pracować w cieniu wspaniałych drzew, oddychając powietrzem przejętem wonią kwiatów: ostatecznie jednak jeżeli Indyanie nie chcą umierać z głodu, to od tej klęski mo-

gą ich uchronić jedynie wielkie fabryki w Bombay, zdolne wytrzymać współzawodnictwo fabryk angielskich. Czy lud indyjski zdolnym będzie podołać tak wielkiemu zadaniu? Odpowiedź nader wątpliwa. Przysłowie dosyć upowszechnione maluje dziwną ociężałość tego ludu tak pod względem fizycznym jakoteż i moralnym: „lepiej siedzieć niż stać mówi ono, lepiej leżeć niż siedzieć, lepiej umrzeć niż leżeć.“

Zasady tego rodzaju z pewnością nie znajdą najmniejszego zastosowania w osadach australskich. Podobnie szybkim rozwojem nie mogą się poszczycić nawet Stany Zjednoczone północnej Ameryki. Po raz piewszy w r. 1788 Anglicy wysłali przestępców do Botany Bay na wschodnie brzegi Australii, przez lat czterdzieści nowa kolonia była więzieniem karnem i niczem więcej. Miejsce jednak wydało się nader odpowiedniem do hodowli owiec, co zwabiło pewną ilość dobrowolnych emigrantów. W roku jednak 1851 ludność ogólna dochodziła zaledwo do trzech kroć sto tysięcy osób; potrzeba było czynnika potężniejszego do sprowadzenia wychodźców z różnych okolic. Otóż w roku wzmiankowanym, górnik z Kalifornii nazwiskiem Hargreares, wiodący życie nader awanturnicze, przybywszy do Australii, uderzony podobieństwem układu gór z dwóch stron oceanu Spokojnego, zamierzył szukać złota.

Praca jego w tym kierunku uwieńczoną była nadzwyczajnem powodzeniem: pokłady złota ukazały się równie bogate jak w Kalifornii, a jako nietknięte miały niewątpliwą przewagę. Poszukiwacze drogocennego metalu zbiegli się ze wszystkich stron, co było główną przyczyną wzrostu ludności i bogactwa.

Obecnie cztery osady australskie posiadają dwa miliony ludności a ich handel wywozowy, ze względu na liczbę mieszkańców, jest ogromny. Już nie tylko samo złoto, którego produkcya z trzechset milionów spadła niżej sta i potrzeba go szukać w głębinach ziemi w twardych skałach, ale wykryte kopalnie innych pożyteczniejszych metali, rozwinięte rolnictwo i winnice, chów wołów i owiec są obecnie źródłem bogactwa osad.

Zbudowano koleje na sposób amerykański, przeprowadzono telegrafy na ogromnych przestrzeniach współzawodnicząc na szlachetnem polu wzniosłych przedsiębierstw. Tak nazwana Nowa Galia przerzyna wnętrze Australii z południa na północ linią telegrafu, a osady południowe łączą swą stolicę Adelajdę z Londynem, prowadząc w tym celu linię długości cztery tysiące kilometrów. Miasto Melburn przed trzydziestu laty nie było nawet zamieszczonem na kartach geograficznych a dzisiaj liczy trzykroć sto tysięcy mieszkańców. Osady australskie jak w kraju macierzystym tak i na wystawie, zachowują swoją odrębność przedstawiając swe płody oddzielnie. Układ cały jest wielce praktyczny, chociaż nie zbywa i na stronie malowniczej, czem nie może się poszczycić nietylko sąsiednia Kanada, ale nawet dział amerykański. Ponieważ podstawą okazów są materyały surowe, komisarze więc wystawy chcieli je o ile możności ożywić przywołując do pomocy statystykę, fotografią a nawet malarstwo. Można tam dostrzedz ogromną mappę miasta Sydney z bardzo ciekawemi szczegółami statystycznemi, jakie streścimy po krótce. Nowa Galia posiadała w r. 1876 sześćset trzydzieści tysięcy mieszkańców; dochód jej wynosił siedem milionów funtów szterlingów, handel wywozowy 27 milionów funtów szterlingów, co daje w przecięciu czterdzieści cztery funty na osobę, stosunek ogromny, nigdzie nie praktykowany. Osada przeprowadziła sześćset czterdzieści dwie mile kolei żelaznej, dziesięć tysięcy mil telegrafów, posiada dwadzieścia sześć milionów baranów a cztery miliony rogacizny, kopalnie złota są w upadku ale za to węgla doszły do wielkiego rozwoju. Uprawa winnic doszła już do znacznego rozwoju a trzcina i wyrobiony z niej cukier przedstawia poważną cyfrę dziesięciu milionów funtów szterlingów. Uprawa zboża, maisu, tytuniu i t. p. dają bezporównania ważniejsze korzyści aniżeli kopalnie złota, prowadzone dzisiaj w głębokości tysiąca siedmiuset stóp. Przemysł we właściwem znaczeniu tego wyrazu jest w stanie kwitnącym; statystyka wskazuje dwa tysiące różnego rodzaju zakładów, a fabryka wyrobów wełnianych w Geelong m aznaczenie pierwszorzędne i dzisiaj nawet na targach europejskich poczyna współzawodniczyć z suknami i materyami angielskiemi. Tak świetny stan osad australskich wskazuje do czego można dojść pracą i wytrwałością. Koloniści osiadali na ziemi nieuprawnej, potrzebowali wszelkiego rodzaju nasion i latorośli sprowadzać z Europy lub Ameryki. Pokonali jednak wszelkie trudności i dzisiaj owoce ich pracy są zdumiewające; w niedalekiej może przyszłości dwa miliony mieszkańców Australii zaważy więcej w rozwoju ludzkości aniżeli dwieście czterdzieści milionów Indyan, postępujących zawsze wedle wskazówek ułożonych przed trzema tysiącami lat. Źródłem bogactwa Anglii, jej osad, jest przemysł; była ona ubogą, dopóki była tylko krajem rolniczym, co jest ważną wskazówką i dla innych narodów będących w tem co ona dawniej położeniu. W dzisiejszych czasach samo rolnictwo nie wystarcza; przemysł jest nieodzownym ale do wytworzenia tej wielkiej gałęzi dochodu, potrzeba przedewszystkiem: przedsiębierczości, wytrwałości i pracy. Historya rozwoju Anglii jest w tej mierze niezbitym dowodem.

(d. n.)

Przegląd literacki.

O budowie zdania pojedyńczego, rozprawka. Napisał Fab. Ferd. Sławiński. Warszawa 1877.

(Dokończenie).

Otóż na tem wielkiem odkryciu ma polegać przewrot, stanowiący epokę w historyi gramatyki, wprowadzony przez autora! Więc niemasz łącznika? Owszem, jest łącznik w zdaniu, ale tym łącznikiem (prosimy uważać, że jesteśmy w sferze *gramatyki*, a mowa o *wyrazach* i *częściach mowy*) jest nie słowo być, ani żadna inna część mowy, ani żaden wyraz, lecz jedynie... *rozum* (!!) Nadal więc, przy rozbiorze logicznym np. zdania „Bóg jest wielki“ uczniowie powinni tak mówić: *Bóg*—podmiot, *jest*—orzeczenie, *wielki* — określenie (str. 17) albo przysądnik (str. 20), łącznik zaś — *rozum*. Autor zapędza się nawet tak daleko iż utrzymuje, że w zdaniu „róża jest czerwona“ wyraz czerwona „może być w zdaniu albo nie być“ (str.17), zkąd wypadałoby, że „róża jest“ to znaczy zupełnie to samo, co „róża jest czerwona“ i pomimo to jednak natychmiast dodaje sam autor, że dwa te zdania znaczą zupełnie co innego.

Nie wiemy istotnie, czy warto zbijać poważnie dziwaczną ową nowowprowadzoną *część zdania* — *rozum*. Jeżeli autor chce dowieść, że mowa, sąd, zdanie nie są możliwe bez rozumu (choć nie zawsze bywają *rozumne*), że porządne myślenie i porządne wysłowienie się wymagają prawidłowego i jasnego rozumu (wielka prawda!), że wreszcie wyobrażenia i pojęcia rodzą się w rozumie — to naderemno sobie zadawał pracę, gdyż wymienionym dopiero co elementarnym pewnikom nikt nigdy nie zaprzeczał. Ale przecież, co innego jest *psychologia*, co innego *logika*, a co innego *gramatyka*, tak że pomimo pewnego związku pomiędzy temi trzema naukami wprowadzać nazwę *zjawiska* lub *stanu psychicznego* — autor nawet nie powiedział, co rozumie przez ów łącznik- rozum—wprowadzać mówię tę nazwę jako *nazwę części zdania*, napisanego na papierze lub tablicy, wymagającego *wskazania palcem*, jest dziecinstwem.

Co więcej, ponieważ autor, uważając słowo *być* w połączeniu z rzeczownikiem lub przymiotnikiem za orzeczenie, sam ów rzeczownik lub przymiotnik nazywa już to *określeniem* (str. 17, plącząc niewłaściwie z określeniem, jako częścią podrzędną zdania rozwiniętego), już to *przysądnikiem*, w gruncie więc cała owa radykalna i mająca stanowić epokę reforma sprowadza się do zmiany terminologii czyli raczej do pomnożenia i powikłania sztucznej terminologii, i tak już zbyt u nas obfitej, dziwacznym, w języku polskim nieistniejącym i dzikim wyrazem *przysądnik*. Nie lubi autor nazwy łącznika dla słowa *być* — to niech nazywa to słowo, razem z rzeczownikiem lub przymiotnikiem, „orzeczeniem złożonem“ jak to i czynią niektórzy, a ów łącznik-rozum możemy śmiało zostawić po za obrębem składni, a przytem obejść się i bez *przysądników* — i cała bańka mydlana wiekopomnego przewrotu pryśnie bez śladu.

Oparte na owej nielogicznej i dziwnej podstawie, całe dziełko pana Sł., sztukowane nadto tu i owdzie wypisami rzeczy najelementarniejszych z różnych gramatyk, pozbawione jest niemal całkowicie wartości naukowej i dla tego niepodobna nam szczegółowo rozbierać jego treści, gdyż zajęłoby to zbyt dużo czasu i miejsca.

Dla uniknienia jednak zarzutu, że pomijamy wszystkie strony dodatnie, wspomnimy o niektórych widocznych dowodach pracowitości autora, choć najczęściej zmarnowanej. Oto np. oprócz wzmiankowanych wypisów ze słowników, które mogą przydać się dla tych, którzy tych słowników pod ręką nie mają, znajdujemy na str. 28—31 zbiór przykładów, w których *przysądnikiem* (to jest po dawnemu, dopełnieniem w trybie bezokolicz.) bywa czasownik, również jak i wykaz słów, po których może być tak użytym czasownik; dalej na 16 stronicach (39—54) autor wypisuje z dzieł słynniejszych gramatyków naszych określenia zdania i jego części, krytykując niby te określenia z punktu widzenia owego rozumu-łącznika, czego za krytykę żadną miarą uznać nie możemy; wreszcie podana na 20 stronicach (75—94) konjugacya rozmaitych zwrotów słownych z przeczeniem, pytających i t. d. (na wzór podawanych w gramatykach elementarnych francuzkich np. Noëla i Chapsala), dobra jako ćwiczenie szkolarskie lub w podręczniku dla dzieci. Tu i owdzie wypisuje także autor przykady różnych frazesów, ale i to nie z dzieł pisarzy wzorowych pod względem języka, ale z Wiszniewskiego, Stanisławskiego i czasem Mickiewicza—w ogóle za mało.

Wyrzekając się szczegółowego wykazywania wszystkich błędów logicznych w organicznym ciągu całego dziełka, jako wypływających z owego zasadniczego i po tysiąc razy na każdej niemal stronicy powtarzanego w kółku odkrycia, że łącznikiem w zdaniu jest rozum, poprzestaniemy na wytknięciu kilku najbardziej rażących, niezależnych od owego zasadniczego paradoksu, a będących wypływem dążności autora ku nowatorstwu i wymyśleniu, *coûte que coûte*, czegoś niby doskonalszego od prac poważnych gramatyków polskich.

Na str. 21 autor odróżnia zdania *zaprzeczające* od *przeczących*, co jest nowością, ale nielogiczną,

gdyż we wszystkich językach *przeczyć* i *zaprzeczać*— to jedno. Na zasadzie tej urojonej różnicy autor każe pisać raz *nieczyń*, to znowu *nie czyń*, co jest błędem, gdyż przy słowach przeczenie zawsze (we wszystkich językach) pisze się oddzielnie; co się zaś tyczy przymiotników i przysłówków, różnica np. między wyrażeniami *niepiękny* a *nie piękny, lecz brzydki* jest ta, że w pierwszym razie zaprzeczeniu ulega przymiotnik i nabiera znaczenia przeciwnego (niepiękny=brzydki, jak po łacinie indoctus=stultus, rudis), w drugim zaś razie przeczenie ściąga się do ukrytego czasownika (być, będący i t. d.) jak np. po łacinie non doctus sed rudis: dla tego to właśnie w pierwszym wypadku przeczenie piszemy łącznie, a w drugim — rozłącznie. Punkt pisowni to ważny, ale autor bardziej go jeszcze powikłał niezrozumiałemi i nielogicznemi wywodami.

Nowością ma być także pomysł „roztrącania zdań“ (str. 31). Ma to oznaczać „zamianę zdania na wyraz lub wyrażenie, które przestaje być zdaniem.“ (Czy i łącznik-rozum przestaje wtedy być rozumem)? Zdarza się to czasem istotnie i jest pewną zasługą autora, że zebrał i przedstawił niektóre przykłady, ale i tu potyka się o zasadnicze prawa logiki. Nieprawdą jest bowiem, że zdanie *główne* „ten się uczy“ można zastąpić jednym wyrazem „uczeń,“ bo w takim razie *sąd* logiczny dałby się zastąpić *pojęciem*, co jest niemożliwe: co innego zdanie *uboczne* „który się uczy“ istotnie = uczeń, bo i tu i tam *pojęcia*, wyrażone tylko raz obszerniej, drugi raz krócej. Odwrotnie jeden wyraz np. *poeta* można zastąpić całem objaśniającem zdaniem ubocznem: *ten, który wiersze układa*, ale zamiast zdania samoistnego: „On układa wiersze“ nie można powiedzieć *poeta* (chyba: *on jest* poetą, albo *to poeta)*. Tego nasz autor nie zrozumiał i ztąd dalsze jego wywody i przykłady są po większej części błędne.

Na str. 44 dowiadujemy się nawiasowo że *rozum*, według autora, stanowi także część składową deklinacyi i konjugacyi, a mianowicie „spójką (samogłoską lub spółgłoską łączącą) między końcówką i tematem (źródłosłowem) jest *rozum*.“ Autor dodaje, że pogląd ten rozwinął w dziele „System zamian głosek,“ które to dzieło, jak donosi jeszcze i na okładce, „składa się z 40 arkuszy druku i czeka nakładcy.“

Na str. 57 autor dziwi się (słusznemu i naukowo uzasadnionemu) twierdzeniu Boczylińskiego, jako „słowo w swoich odmianach mieści wyraźne, skrócone lub domyślne słowo być.“ Widocznie autor mało jest obeznany z gramatyką porównawczą, a choćby tylko z gramatyką innych języków aryjskich (bez czego trudno skutecznie pracować na niwie gramatyki polskiej), gdyż dowiedziałby się ztamtąd, że zakończenia czasów i osób częstokroć są to tylko zmienione nieco formy słowa posiłkowego (np. amav-eram, fue-ro, amav-erim zam. amav-esim). Nawet z historyi języka polskiego mógłby się autor dowiedzieć że np. pisałem, eś i t. d. to nic innego jak pisał jeśm, pisał jeś i t. d. (i takie formy były używane aż do końca XVI w.).

Zarzuty, które czyni autor gramatyce Małeckiego są często dziecinne i zabawne. Tak na str. 64 gromi go za to, że użył czasowników *opuszczamy* i *wypuszczamy* w tem samem znaczeniu, a na str. 65 bojuje przeciwko przytoczonemu przez Małeckiego prawidłu o opuszczaniu zaimków osobistych. Małecki tego prawidła nie wymyślił (istnieje ono we wszystkich językach aryjskich, z wyjątkiem po części niemieckiego, pochodnych romańskich, jak francuzki, niektórych słowiańskich, o mocno zubożałych końcówkach czasowania), a o używaniu zaimków z przyciskiem („Jam jest“ i t. d.) nikt nigdy nie wątpił — darmo więc trudzi się autor. Czyżby chciał twierdzić np. że należy mówić: „gdy ja przyszedłem, ja wziąłem książkę i ja usiadłem“? i tym podobnie.

Na str. 66 mówi autor: „dotychczasowa nauka o zdaniu nie ma podstawy, nawet niewłaściwą metodą wykłada się, bo w sposób opisowy lub opowiadania o zdaniu. Inna rzecz *gieneza*, a inna — opowiadanie i t. d.“ Tak więc nauka gramatyki nie ma być opisem ani opowiadaniem, ale *gienezą* — szkoda że autor tego bliżej nie wyjaśnił.

Na str 67. Gromiąc, po części słusznie, rozmaitość terminologii gramatycznej i „kucie nowych wyrazów,“ autor mógłby do ułożonego wykazu tychże dodać i własne, w języku polskim nieistniejące, a brzmiące dziko i całkiem zbyteczne: *przysądnik*, *przedpierwotka*, *popierwotka* i t. p.

Wzmiankowane powyżej dziwaczne odróżnienie przeczenia od zaprzeczenia i błędny ztąd przepis co do pisowni wyrazów połączonych z *nie* doprowadza autora, w dalszym rozwoju, do przepisywania błędów językowych: tak na str. 74 znajdujemy taki podany frazes: „*nie czytałem tę książkę*“ (w cudzysłowie, ale kto w mowie ustnej oddać potrafi cudzysłów)? *ale ją oglądałem*. „Pisma i piszący, którzy kaleczą język (a takich dziś niebrak) będą zapewne wdzięczni autorowi za usprawiedliwienie tego błędu: wyrażenia bowiem nie czytałem *tę książkę*,“ używane w mowie potocznej warszawskiej, a czasem i w druku, jest naleciałością ze szwargotu żydowsko niemieckiego. Pan Sł. pierwszy ten błąd uprawnia, gdyż wyróżnienie tego frazesu od jedynie prawidłowego „nie czytałem tej książki“ poprostu nie ma sensu.

Na str. 75 pomiędzy *zdaniami* znajdujemy same zaimki z wykrzyknikami: ja! ty! on! O takich zdaniach nikt dotąd nie słyszał. Jeżeli tu autor rozumie skrócone odpowiedzi na pytania (kto przyszedł? ja), toć przecie jest to tylko podmiot zdania, z domyślnem orzeczeniem, nie zaś zdanie, boć tak samo powinien był autor przytoczyć takie np. *zdania*: „stół! brat! koń!“ i t. p. co byłoby równie śmiesznem.

W tem wszystkiem, co autor mówi o osobach trybu rozkazującego (str. 96) i zastanawia się nad formami *niech zginę*, *niechno pomyślę* i t. d. nie widzimy rzeczy głównej: autor snać nie rozumie, że ponieważ zamiast *niech* mówi się także *niechaj*, co jest wyraźnie trybem rozkazującym od słowa *niechać* (staropols. zam. *zaniechać*), więc owa mniemana 1 osoba trybu roz. w takich wyrażeniach *jak niech zginę* i t. p. jest tylko opisaniem, z dwu całych zdań złożonem to jest *niech zginę* = *niechaj, zginę*, czyli: *nie przeszkadzaj, zginę*. Rzecz to aż nadto jasna i prosta.

Na str. 97 — 98 autor walczy z gramatykami (i w tem wykazując własną wyższość i obalając dawne *przesądy*) za to, że pozwalają dowolnie wyrzucać y z końcówki 1 osoby l. mn. czasu teraźn. np. *piszem*, *chodzim* i t. d. zam. *piszemy*, *chodzimy* i t. p. Z mglistych i powikłanych uwag autora w tym przedmiocie, wypada, jak się zdaje, jakoby owo skrócenie było właściwością *poezyi*, co zupełnie jest błędnem, bo każdemu aż nadto dobrze wiadomo, że właśnie w mowie codziennej, potocznej i pospolitej najczęściej dają się słyszeć te formy skrócone. Nie zdołał jednak autor wyjaśnić, dla czego mianowicie owa wyrzutnia jest dozwoloną: odsyłamy go więc raz jeszcze do gramatyki porównawczej, z której mógłby się dowiedzieć, że owo *my*, łac. *mus*, greck. *men* i t. d. jest zaimkiem osoby 1 l. mn. z *krótką samogłoską* i że w jęz. starosłowiańskim już owa krótka samogłoska przeszła w półdźwięk ъ, a zatem przestała być wymawianą.

Na str. 106 znowu głosi autor, że żaden jeszcze z gramatyków nie zastosował dotąd do wykładu składni rządu nowej metody (przez autora zalecanej), a która polega na tem ażeby *podać całą składnią rzadu* to jest zebrać wszelkie możliwe zwroty każdego słowa z różnemi przypadkami i przyimkami, zapewne w podobny sposób, jak autor na 2 stronicach (104 i 105) podał rozmaite zwroty czasownika *pisać*. Autor lubi obliczać: gdyby więc gramatycy usłuchali jego rady i rząd każdego słowa opracowali na 2 stronicach, ileby tomów objęła sama składnia rządu.

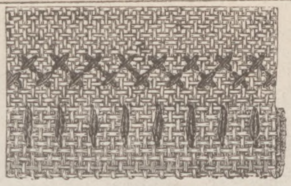
Na str. 106 w tem co autor mówi o szyku (bardzo pobieżnie i elementarnie) mowa o pięknem *brzmieniu harmonii* — rzecz dziwna, że autor tak wymagający ścisłości, nie widzi jak dziecinne i błahe są te przestarzałe kryterya: *piękne brzmienie*, *harmonia* i t. d. — a nie ma rzeczy głównej, a mianowicie: że miejsce wyrazu w szyku przekładnym zależy od przycisku i zamiaru uwidocznienia tego lub owego wyrazu, od jego roli logicznej w szeregu innych wyrazów i względem zdań poprzednich i następujących. Za to, nie wiedzieć istotnie po co, przytacza tu autor elementarne określenia główniejszych miar czyli stóp wierszowych. Czyżby autor (bo rzecz, jak często, mglista i niejasna), żądał aby styl prozaiczny układanym był według miar wiersza? Otóż zupełnie jest w błędzie i wiadomo wszystkim, że rzecz ma się wprost przeciwnie: tak wierszowany, rytm i rymy w prozie stanowią jedną z największych wad stylu i należy ich starannie unikać.

Tu za to było miejsce powiedzieć coś o przekładni zaimka *się*, tak u nas nadużywanej. O tym zaimku mówi autor powyżej, (str. 70), ale nie umie objaśnić, dla czego takie np. uszykowanie: *się niech uczy* i t. d. są wykroczeniami przeciwko szykowi. Otóż w tej mierze wyjawimy tu swoje zdanie. Podobno najprawidłowiej i zawsze należałoby mówić i pisać *uczyć się*; ponieważ jednak zaimek *się*, jako nie mający akcentu (wyraz enklityczny, jak w języku greckim) nieładnie jakoś brzmi *na końcu zdania*, dla tego unikają go tam umieszczać, podobnie jak zaimków *mi*, *mię*, *ci*, *cię* nikt na końcu nie używa, i tylko w tym wypadku można przestawić zaimek *się* i powiedzieć np. *Jaś dobrze się uczy* zam: *uczy się*. Mniemam że następnie nadużyto tej swobody i dziś z owem *się* w mowie warszawskiej, tak ustnej jak drukowanej, ludzie wyrabiają istotne łamańce.

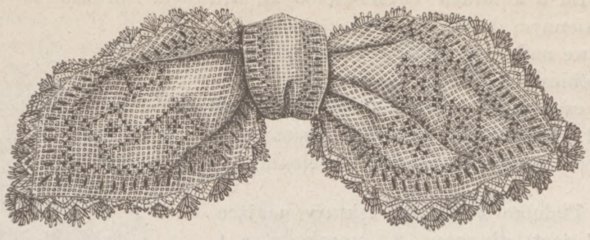
Ostatecznie uznajemy pracowitość autora i zamiłowanie jego w przedmiocie, ale (jeśli te słowa do niego dojdą), radzibyśmy na przyszłość trochę więcej rachować się z logiką, unikać zbyt żywych zachcianek amatorskich, wreszcie zapoznać się z historyą języka polskiego, z gramatyką innych narzeczy słowiańskich i, jeśli można, z gramatyką porównawczą języków aryjskich. Mało świadomych rzeczy zawsze łatwo olśnić fantastycznemi pomysłami, ale nie godzi się zbytecznem puszczaniem wodzy fantazyi poniżać sam przedmiot i lekceważyć bardziej świadomego czytelnika. *L. Sz. W.*

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, (24) Августа 1878 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

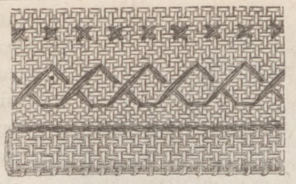
Dodatek.



N. 2. Szlaczek do krawatki ryc. 1. Ścieg krzyżykowy i listeczki.



N. 1. Kokarda do krawatki. Patrz próbki wyszycia ryc. 2 i 3.



N. 3. Szlaczek do krawatki ryc. 1. Ścieg krzyżykowy i długi.

Opis do N. 35.

(Dokończenie).

Ryc. 12. Mankiet dwoisty. Krój Fig. 29. Oddzielnie przykrojone i odszyte części mankietu, zeszywają się w środku podwójną stębnówką a w końcach obrabia się po dwie dziurki do zapinek.



N. 7. Ubranie podróżne z kieszonką przewieszoną przez ramię. Krój paletota podług ryc. 16 w N. 31.

Ryc. 13. Krawat ze sztywną kokardą. W podwójny, skośny, 5 cent. szeroki kawałek atłasu czarnego, daje się w środek muślin sztywny, końce ścięte szpiczasto mają 12 cent. długości, kokardy 7 a przepięcie 5 centymetrów.

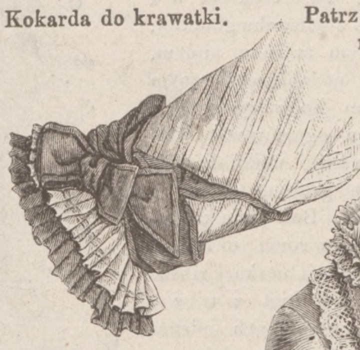
Ryc. 14. Krawat do wiązania. Prosty, 7 cent. szeroki kawałek materyi jest związany na kokardę i przyczepiony do oddzielnego paska 2 cent. szerokiego, któren może być luźniej lub ciaśniej zapinany. Model był z atłasu granatowego w kropki białe.

Ryc. 15. Poduszeczka toaletowa do zawieszenia, z koronką irlandzką.

Deseń na arkuszu z krojami N. 6, podaje połowę kwadratu mogącego służyć na patarafkę, serwetkę do mebli lub przykrycie do koszyczka, któren odrabia się z tasiemeczki koronkowej, gładkiej i medaljonowej. Na ryc. 15 widziemy nieco zmienioną gwiazdę odrobioną podług powyższego deseniu, na kwadracie koronkowym, pokrywającym poduszeczkę atłasową, trzymającą 24 cent. w kwadrat, otoczoną skośną 12 cent. szeroką bufą. Wstążki zakończone kokardą, służą do zawieszenia poduszeczki.

Ryc. 16. Poduszeczka meblowa ozdobiona koronką i robotą krzyżykową. Deseń na arkuszu z krojami N. 11.

Poduszeczka mająca 28 cent. w kwadrat, wysłana włosieniem albo pierzami, pokryta szafirowym jedwabnym repsem, ozdobiona jest szlakiem krzyżowym 20 ściegów szerokim, wyszytym filozelą niebieską. Środek zapełnia kwadrat siatkowy lub koronkowy, dający się prać. Deseń N. 11, na arkuszu z krojami, podaje połowę kwadratu robionego z nie zbyt cienkiej tasiemeczki koronkowej, zakończonej tasiemką gładką, ozdobioną owieskiem, wyszytym ściegiem nawijanym. Frendzla z jedwabiu niebieskiego z wiązaniem szafirowem, jest 8 cent. szeroka. Kwasty i sznury do zawieszenia są szafirowe. Poduszeczka służy do oparcia głowy i chroni fotele od zesmolenia.



N. 4. Rękaw do sukni stosowny do ryc. 8 i 12.



N. 5. Bluzka ozdobiona wyszyciem krzyżykowem. Krój podług ryc. 8. w N. 27.



N. 6. Spódnica ozdobiona draperyą do ryc. 18—19. Krój N. I, Fig. 7.

N. 18. Narożnik do haftu krzyżykowego, do serwetki z siatki gipiurowej której wzór podajemy na dodatku z deseniami N. 14 i 15.

Deseń N. 14, podaje w zmniejszeniu serwetkę meblową, mającą w środku kwadrat siatkowy, miary 24 cent.; cerowany podług N. 15 nićmi N. 8 i 5, zakończony brzegiem szarym płóciennym, 7 cent. szerokim, ozdobionym haftem krzyżykowym. Ryc. 18 podaje narożnik szlaku, któren wyszywa się filozelą bronzową w trzech cieniach. Brzegi serwetki oszyte są koronką niciną, 3 cent. szeroką, wywodzoną 3-ma cieniami filozeli.



N. 11. Ubranie z tuniką i mantylą. Patrz plecy ryc. 12 rękaw ryc. 4. Krój tuniki N. XI, Fig. 33.

N. 20. Czepeczek ranny. Krój N. IX, Fig. 03—1. (Zobaczyć przód na ryc. 14 w N. 36.

Cały czepeczek składa się z jednego kawałka muślinu, tiulu lub grenadyny, przykrojonego podług Fig. 31, oszytego wązką koronką i stanowiącego zarazem czepek, końce i garnirunek. Fason stanowi tiul sztywny, podwójnie przykrojony podług Fig. 30, ułożony w fałdki oznaczone na formie, (tak ażeby krzyżyk zchodził się z punktem), oszyty drucikiem i wstążeczką. Materyał stanowiący czepeczek fałduje się z przodu w ten sposób, ażeby brzeg oszyty koronką stanowił falbankę przyczepia do zaokrąglonego przedniego brzegu foremki i zdobi kokardą widoczną na ryc. 14 w N. 36; następnie z jednej części układa się głowę czyli denko fałdowane ztyłu kokardą spięte, drugą część składa się fantazyjnie w trzy wachlarzowe fałdy, widoczne na ryc. 20. Końce czepeczka powinny być równo spuszczone z tyłu; na kokardy z długiemi końcami, bierze się wstążkę wązką w dwóch kolorach, np. blado-różową i jasno-niebieską.

N. 21. Żabot muślinowy oszyty koronką i ozdobiony wstążką.

Dwa trójkąty muślinu skośnie przecięte mające w brzegach prostych 20 cent. długości a 25 szerokości, oszywa się z tychże



N. 8. Suknia z draperyą szalową.

N. 9. Ubranie z vêtement. Krój N. XII, Fig. 34.

N. 10. Ubranie z paletocikiem wcinanym.

N. 12. Ubranie z mantylą i tuniką. Patrz przód i krój na ryc. 11.



N. 13. Okrągły florencki kapelusz.

brzegów koronką, układa w ścisłe wachlarzowe fałdy, przyszywa jeden na drugim, (w sposób na ryc. 21 wskazany), do kawałka sztywnego tiulu i przepina w górze zręcznym, drobno fałdowanym węzłem, z pod którego spadają na dół kokardy i końce z wązkiej wstążki.

N. 23—24. Pudełko na rękawiczki, krawatki lub t. p. ozdobione haftem kolorowym.

Materyał: Biały atłas, 2 cent. szeroka biała i 3 cent. szeroka wstążka niebieska atłasowa; włóczka cienka do haftu w kolorach czysto-zielonym, trawnym i bronzowo-jesiennym do cieniu, dwa cienie szafirowe na haber. Pela w dwóch cieniach niebieskich, dwa blado lila (wpadające w czerwony), wszelkie cienie zielone od czystych do zgniłych jesiennych. Jedwab zielony i różowy do cieniu.

Pudełko z cienkiej tektury mające 31 cent. długości, 23 szerokości a 4 wysokości, pokryte z wierzchu gładkim, wewnątrz pikowanym atłasem białym, ma wieko płaskie; ozdobione ślicznym haftem kolorowym, a z brzegu ogarnirowane riuszą w listki układaną i oszyte grubym sznurem białym. Bok pudełka pokrywa w rurki układana wstążka niebieska i riusza biała. Bukiet z traw i kwiatów polnych odznacza się pięknym doborem kolorów zbliżonych jak można najbardziej do naturalnych i umiejętną mieszaniną włóczki, jedwabiów i peli. Rodzaje ściegów dokładnie wskazane są na ryc. 24.

N. 25—29. Chusteczki z koronki, grenadyny lub muślinu.

Powyższe ryciny wskazują rozmaite sposoby zapinania chusteczek stanowiących najwłaściwsze dopełnienie ubrania dla młodych osób. W tym roku najwięcej używane są chusteczki Marie-Antoinette z długiemi końcami i mantylki nieco większe z końcami szalowemi, które odrabiać można z krepy, grenadyny, koronki i t. p., albo z tego co suknia materyału. Końce mogą być z przodu luźno przerzucone albo na kokardę związane jak na ryc. 26 i 29, albo na piersiach zkrzyżowane, i z tyłu lekko związane jak na ryc. 25, lub też zkrzyżowane z przodu i paskiem przytrzymane. Ryc. 28 i 29 przedstawia z przodu i z tyłu mantylkę z czarnej jedwabnej grenadyny, ozdobioną kolorowym haftem łańcuszkowym i oszytą frendzlą, mającą 42 cent. środkowej szerokości, a 137 cent. długości w brzegach zewnętrznych. Wykrój szyi zdobi riusza z podwójnego jedwabnego tiulu dziergana w ząbki kolorowe. Ryc. 27 przedstawia czarną koronkową lub grenadynową chusteczkę która zarówno na szyi jak i na głowie może być noszona. Model formę czworo-kąta z przedłużonemi końcami, mającego 32 cent. środkowej szerokości a 80 cent długości, oszyta go w koło koronką 14 cent. szeroką.



N. 15. Ubranie dla chłopczyka lat 12—14 złożone z majtek kamizelki i żakietki. Patrz ryc. 7 i 8 w N. 35. Krój na ark .N. III, Fig. 12—21.

N. 16. Ubranie ranne dla młodej panienki.

N. 17. Sukienka princesse dla panienki lat 12—14.



N. 18—19. Ubranie wizytowe. Patrz ryc. 6. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—7-a.

N. 30—31. Fartuszek dziecinny. Krój podług ryc. 11 i 12 w N. 18 Tygodnika.

Fartuszek osłaniający całą sukienkę, kraje się podług formy princesse, dając do otwartych pleców potrzebny materyał na kontrafałdy. Ryć. 30 przedstawia z przodu fartuszek batystowy ubrany koronką trimming; ryc. 31 podaje plecy fartuszka z szarego płótna, ozdobionego kolorowem wyszyciem i oszytego szarą koronką.



N. 20. Suknia princesse z szalową draperyą i chusteczką. Krój chusteczki na arkuszu N. IV, Fig. 22—23. N. 21. Suknia z długim fałdowanym stanikiem. N. 22. Ubranie małej dziewczynki. N. 23. Suknia z vêtement z potrójną pelerynką.

Opis do N. 36.

N. 1—3. Krawatka ozdobiona wyszyciem.

Nowość która zjawiła się od chwili rozpowszechnienia się wyszycia krzyżykowego, stanowi kanwa tkana z grubych kordonkowych nici, zupełnie ażurowa kanwa nazwana „canevas de congrès" której próbki widzimy na ryc. 2 i 3 w naturalnej wielkości. Używana jest na krawatki, serwetki do mebli, poduszki i t. p. Krawatka przedstawiona na ryc. 1 ma końce ozdobione wyszyciem podług ryc. 2—3, filozelą bladoniebieską; brzegi oszyte nicianą koronką wywodzoną filozelą.

N. 4. Rękaw do sukni, ryc. 8—12.

N. 5. Bluzka ozdobiona wyszyciem krzyżykami.

Bluzka odpowiedniejsza i dogodniejsza jest do ubrania domowego lub podróżnego niż obcisły stanik do figury; można odszyć ją z tego co suknia materyału, albo też z materyi, batystu lub muślinu. Formę dopasować można podług ryc. 8 w N-rze 27, dodając tylko przy krajaniu przodów i pleców po 20 cent. na zakładki, które w pasie zsunięte są ściśle i podszyte tasiemką. Pół-długie rękawy zakończone są szerokiemi falbanami; bluzkę zdobi koronka niciana i haft krzyżykowy.

N. 7. Ubranie podróżne z kieszonką przewieszoną przez ramię. Krój paletota podług ryc. 16 w N-rze 31 i ryciny 32 w N. 32.

Spódnica nie sięgająca do ziemi, paletot i kieszonka są z płótna écru; falbana i plisy z perkalu bronzowego, guziki bronzowe rogowe. Długi paletot zapinany jest skośnie i ma na piersiach dodaną małą kieszonkę do zegarka, można w niej także umieścić bilet. Bardzo dogodne dopełnienie ubrania stanowi kieszonka, zawieszona na sznurze wełnianym, ozdobiona wyszyciem krzyżykami; długość kieszonki wynosi 21 cent, szerokość dolna 28, górna 21 cent. tylna ścianka podłożona tekturą kraje się w jednym ciągu z klapką zwierzchnią która jest w środku 17 z boków 14 cent. długa.



N. 14. Czepeczek ranny. Opis przy ryc. 20 w N. 35.

N. 8—12. Ubrania domowe i spacerowe.

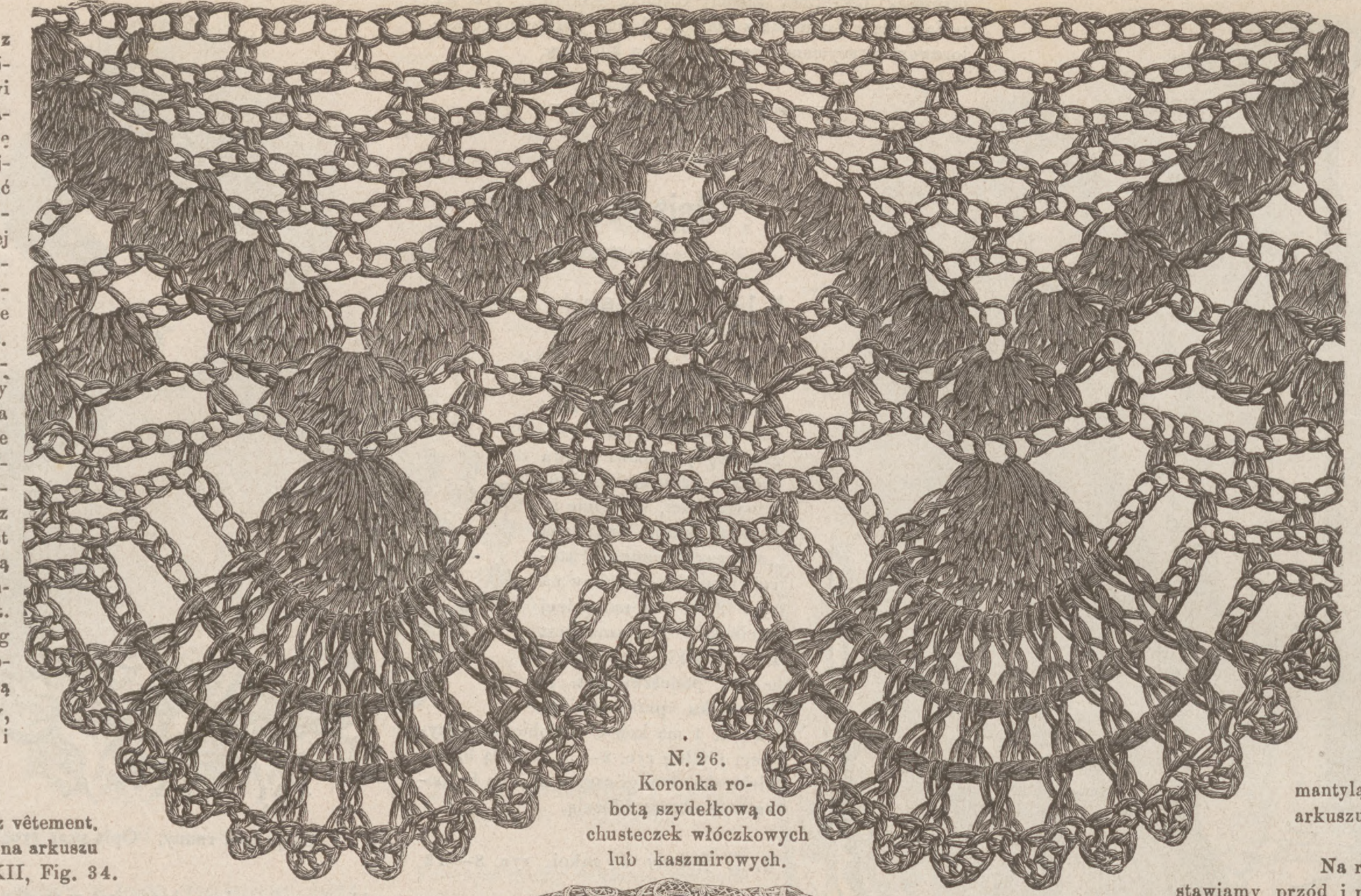
N. 8. Suknia z szalową draperyą.

Oksford gładki i w pasy stanowi materyał na to ubra-



N. 24 i 25. Fartuszek do gospodarstwa. Krój na arkuszu N. X, Fig. 32.

nie złożone z fałdowanej spódnicy, draperyi i stanika z baskina. Spódnicę potrzeba najpierw doposować z grubego muślinu a na niej układa się wpłaskie fałdy przyfastrygowane wzdłuż zapięcia. Draperya zaczynająca się przy brzegu stanika złożona jest ze skośnego kawałka 65 cent. szerokiego, który z tyłu spięty jest wielką kokardą i spada w końcach po 70 cent. długich; brzeg draperyi jest oszyty szeroką plisą w pasy, także rękawy i wielki kołnierz.



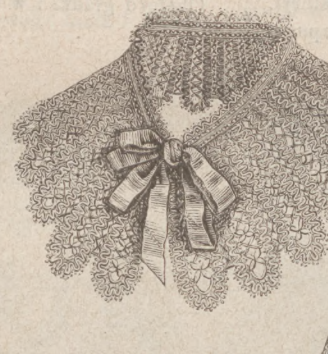
N. 26. Koronka robotą szydełkową do chusteczek włóczkowych lub kaszmirowych.

N. 9. Suknia z vêtement. Krój vêtement na arkuszu N. XII, Fig. 34.

Ubranie to wykończone jest z ciemnej materyi jedwabnej i jasnego materyału wełnianego. Fig. 24 wskazuje krój vêtement z wypisaniem całkowitych miar i odznaczeniem fałdów; przody krajane w jednym ciągu z boczkami są odpowiednio do krzyżyków i kropek zfałdowane do 108 cent. i zsyte z plecami, założonemi z jednej strony w pukiel 40 cent. długi, z drugiej w cztery fałdy równej szerokości. Plisy 10 cent. szerokie rękawy, wielki marynarski kołnierz, pasek złożony w fałdy i kokardy są z ciemnej materyi. Spódnicę zakończa 15 cent. szerokie plisowanie złożone w kontrafałdy; u dołu vêtement frendzla jedwabna 9 cent. szeroka.



N. 27. Koszyczek z koronkowem przykryciem do robót. Deseń na arkuszu z krojami N. 7.



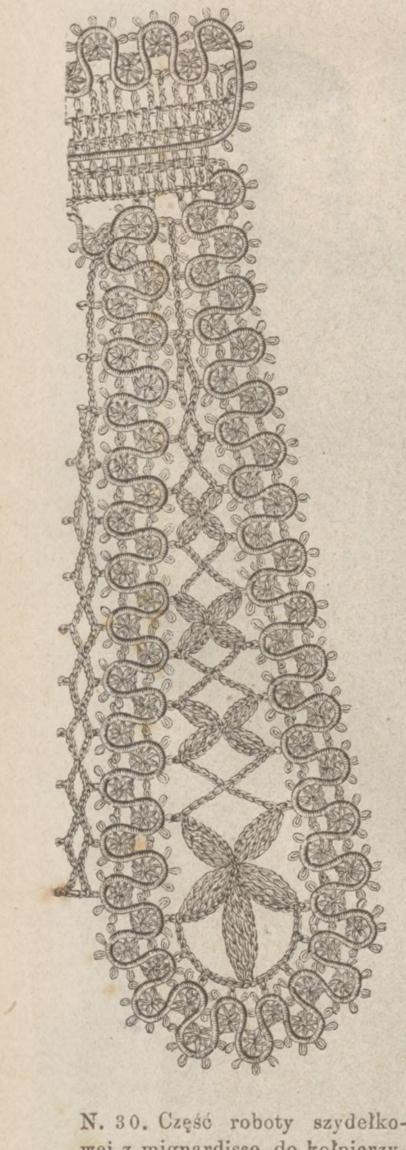
N. 29. Kołnierzyk robotą szydełkową. Patrz ryc. 30—31.



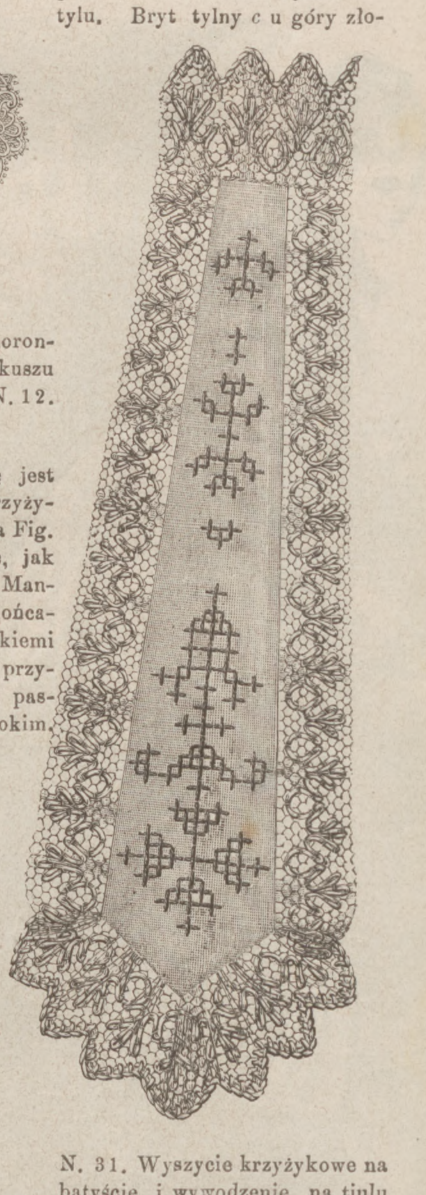
N. 28. Kołnierzyk koronkowy. Deseń na arkuszu z krojami Fig. 35 i N. 12.



N. 32. Kosz na negliżyki lub drobiazgi z przykryciem haftowanem. Patrz ryc. 33 i Fig. 36 na arkuszu z krojami.



N. 30. Część roboty szydełkowej z mignardisse do kołnierzyka ryc. 29.



N. 31. Wyszycie krzyżykowe na batyście i wywodzenie na tiulu do kołnierzyka ryc. 29.

N. 10. Suknia z wcinanym paletocikiem.

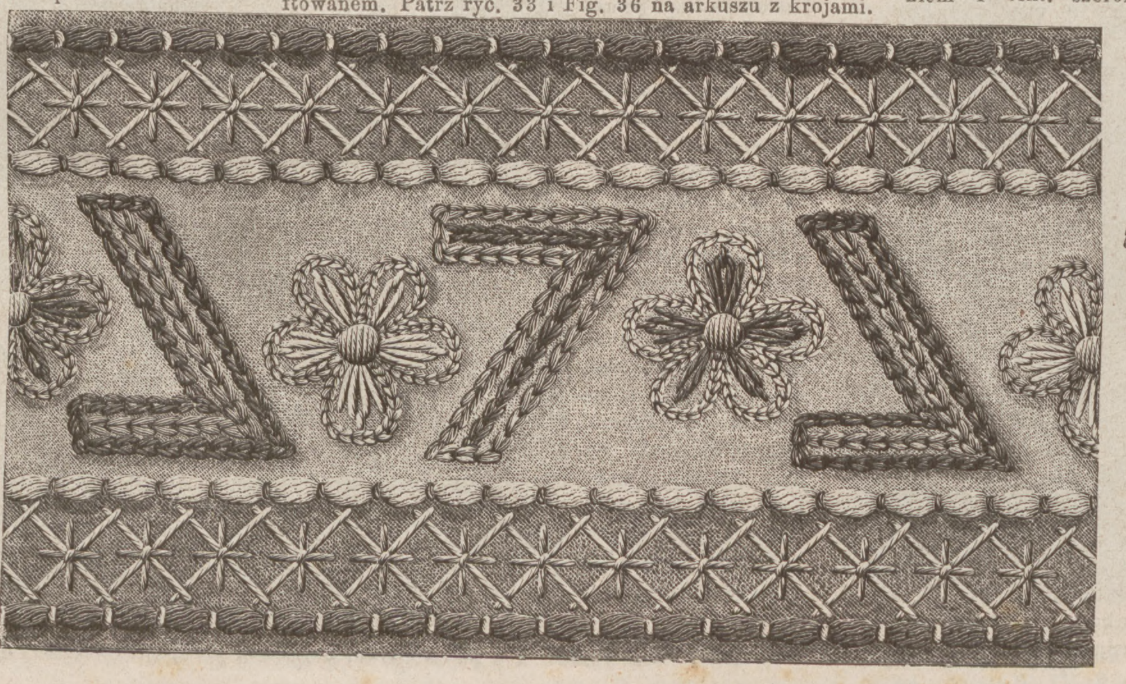
Ubranie przedstawione na ryc. 10 złożone ze spódnicy, tuniki i bluzki a do wyjścia na ulice dopełnione paletocikiem z zaszewkami wpadającemi zupełnie do figury z szerokim szalowym kołnierzem i plisą z wypustkami, odszyte jest z szarego płótna. Przedni bryt tuniki w środku 96 cent. długi, zszyty jest skośnie; wyższa gładka część łączy się z dolną fałdowaną częścią (na marszczki trzeba naddać materyału) pod plisą z wypustkami wzdłuż której odznaczone jest zapięcie na guziki. Prosty bryt tylny 117 cent. długi, u góry złożony w kontrafałdę podwójną, z boków jest równo ufałdowany i zszyty z brzegami przodu.

N. 11—12. Suknia z tuniką i mantylą. Krój tuniki na arkuszu N. XI, Fig. 33.

Na ryc. 11 i 12 przedstawiamy przód i plecy ubrania spacerowego z jasno-bronzowego mohairu, zdobnego jasną atłasową wstążką 2 cent. szeroką; spódnica zakończona plisowaniem 40 cent. szerokiem. Fig. 33 załącza wskazanie kroju tuniki. Bryt przedni *a* odpowiednio do figury zaszyty w górze, złączony z prostemi brytami bocznemi, *b* które z brzegów tylnych na 49 cent. do dwukropka puszczone są wolno, wyżej do 44 cent. zfałdowane i za pomocą tasiemek związane do tyłu. Bryt tylny *c* u góry złożony w kontrafałdę jest podług punktów i krzyżyków odznaczonych na Fig. 33 podpięty w pukle, jak to ryc. 12 wskazuje. Mantyla z szalowemi końcami po 20 cent. szerokiemi i po 48 długiemi, przypięta jest z przodu paskiem 4 cent. szerokim.

Atłasowa wstążka naszyta jest po nad brzegiem plisowania, przy tunice i przy sukni.

(Dok. nast.)



N. 33. Szlak wyszyty na suknie włóczką crewel do ryc. 32.

TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1878 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 35 i 36.

N. I. Suknia z frakowym stanikiem i ubieraną spódnicą. Ryc. 18—19 i 6 w N-rze 36.

Miara objętości przez połowę: w gorsie 50 cent., w pasie 34 c.

Fig. 1. Przód (A, B, L, M, O, *) 1 założenie.

Fig. 2. Pierwszy boczek (A, B, C, D).

Fig. 3. Drugi boczek (C, D, E, F).

Fig. 4. Pierwsza część pleców (E, F, G, H, I, K, M, ╳ 1 i . 1 do ╳ 2 i . 2) 1 założenie

Fig. 5. Połowa drugiej części pleców (G, H, I, K, L, M, ╳ 3 i . 3) jedno założenie formy.

Fig. 6. Kołnierzyk (N, O).

Fig. 1-a 6-a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 1—6.

Fig. 7. Wskazanie kroju spódnicy: *a* połowa przodu, *b* pierwszy klin, *c* drugi klin, *d* bryt tylny; *e* połowa przodu draperyi na spódnicy, *f* pierwszy klin, *g* drugi klin.

N. II. Sukienka princesse z fałdowaniem, dla dziewczynki lat 2—3. Rycina 2—3 w N-rze 35.

Fig. 8. Połowa przodu (P, Q, T, U, V, Z, :, *).

Fig. 9. Połowa pleców (P, Q, R, S, T, U).

Fig. 10. Rękaw (V, W, X, Y).

Fig. 11. Przednie przybranie z kołnierzykiem (R, Z, :, *) 1 założenie.

N. III. Majtki, kamizelka i kurtka dla chłopca lat 12. Rycina 7—8 w N. 35 i ryc. 15 w N. 36.

Fig. 12. Połowa majtek (a, b, c, d, e, f, g, h) 1 założenie.

Fig. 13. Przód kamizelki (i, k, l, m).

Fig. 14. Połowa pleców (i, k, l, m).

Fig. 15. Przód kurtki (n, o, p, t, u, v, z, +, :, .).

Fig. 16. Boczek (n, o, r, q).

Fig. 17. Przedni karczek (p, q, s, *).

Fig. 18. Połowa pleców (q, r, s, t, u, y, *, :).

Fig. 19. Rękaw (v, w, x).

Fig. 20. Kołnierz (y, z).

Fig. 21. Kieszeń (+, .).

N. IV. Chusteczka z szalowym kołnierzem, do sukni ryc. 20 w N. 36.

Fig. 22. Połowa chusteczki (+, :, *, ╳ 4 i . 4 do ╳ 5 i . 5) 1 założenie.

Fig. 23. Połowa szalowego kołnierza (+, :, *).

N. V. Kołnierzyk wykładany męzki, ryc. 10 w N. 35.

Fig. 24. Połowa kołnierzyka (1—2).

Fig. 25. Połowa paska (1, 2).

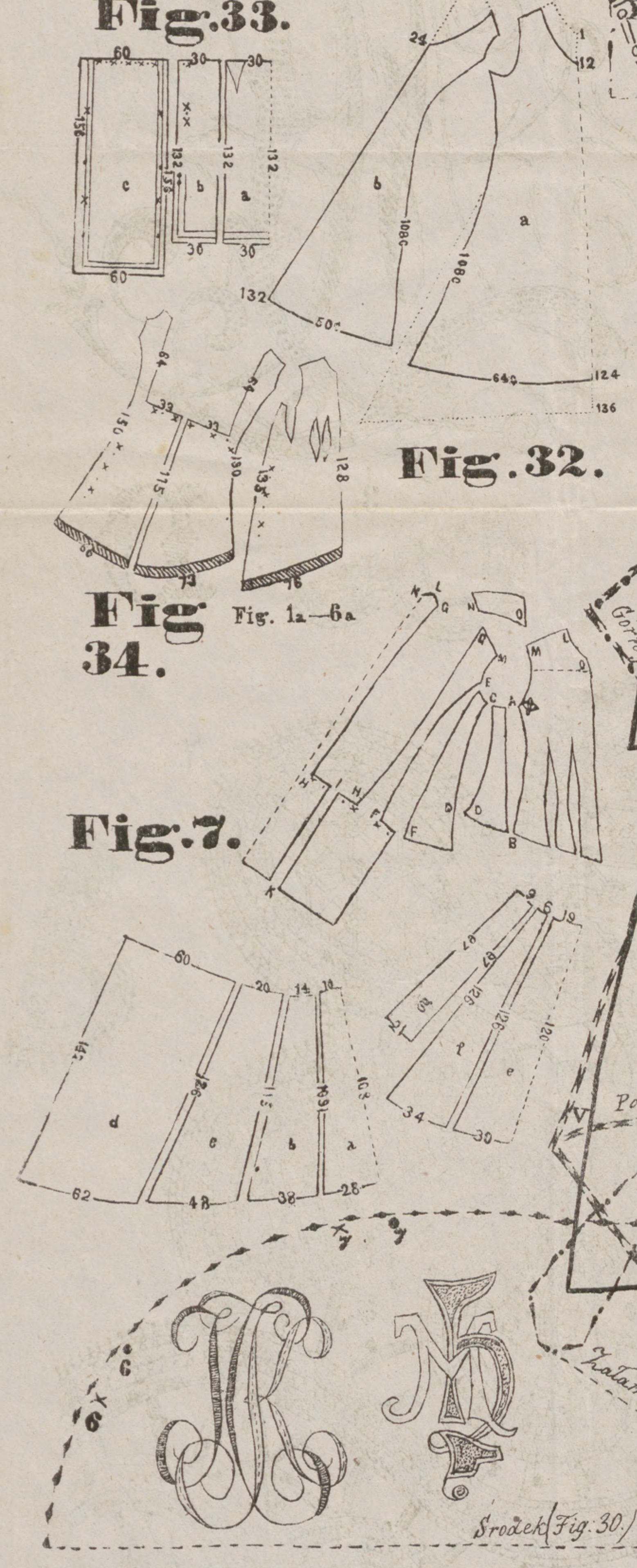
N. VI. Kołnierzyk stojący męzki z wywiniętemi rogami, ryc. 11 w N. 35.

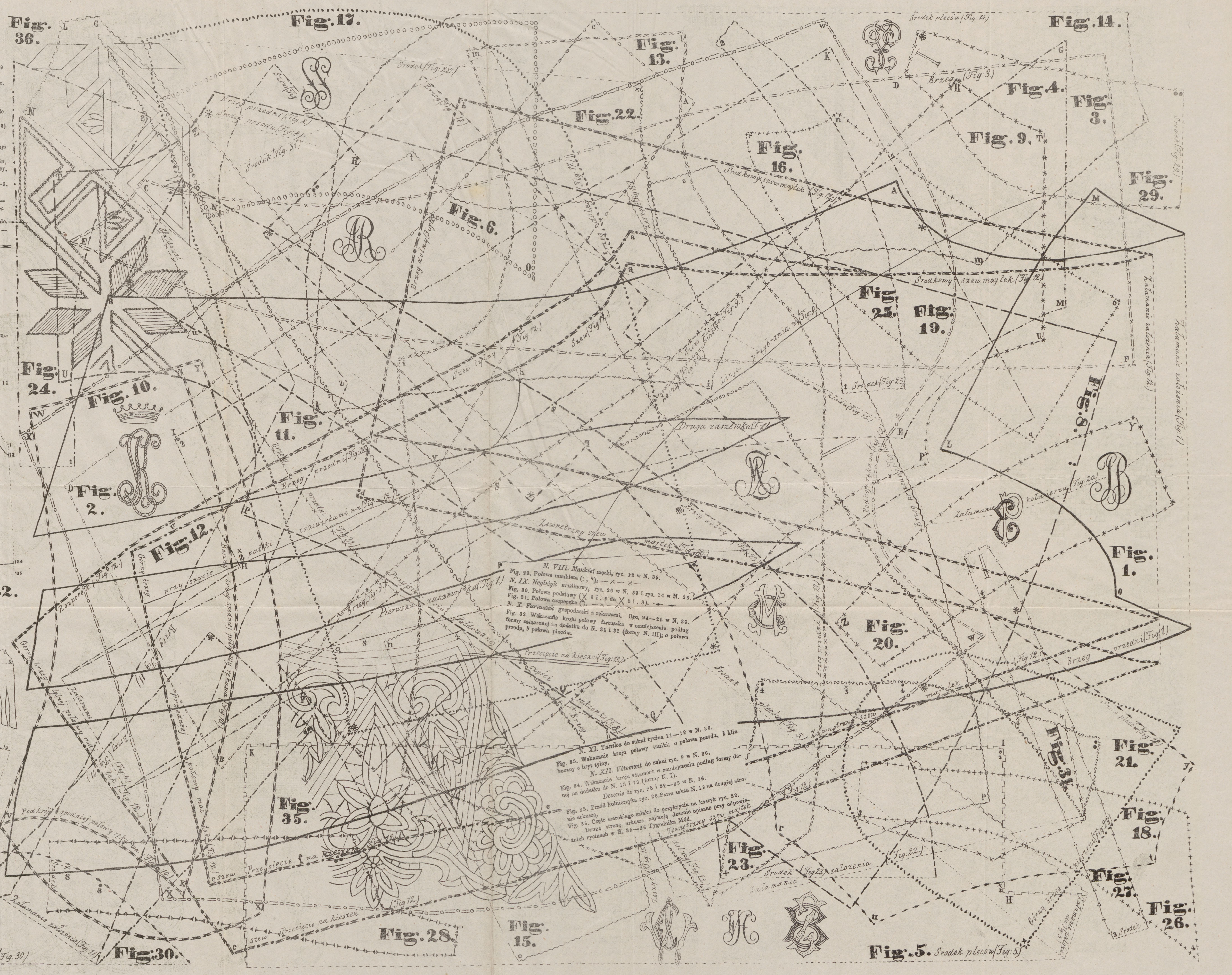
Fig. 26. Połowa kołnierzyka (3, 4).

Fig. 27. Połowa paska (3—4).

N. VII. Kołnierzyk stojący męzki, rycina 9 w N. 35.

Fig. 28. Połowa kołnierza.







1.
2.
3.
4.
5.
7.
10.
11.
12.
13.
14.
15.
1878